

KAROL MAY

RAPIER I TOMAHAWK

SCAN-DAL

CZARNY GERARD

O jakieś sto dwadzieścia mil angielskich od ujścia Rio Pecos do Rio Grandę del Norte, na meksykańskim wybrzeżu tej potężnej rzeki, na ostrym zakręcie niedaleko Presidio de S. Vicente leży znany już naszym czytelnikom port Guadalupe. W roku 1848 Emma Arbellez wraz z przyjaciółką Karią była tu z wizytą u krewnych. W drodze powrotnej napadli ją i uprowadzili Komanczowie. Jak pamiętamy, oswobodził je Piorunowy Grot i Niedźwiedzie Serce.

Rodzina, u której gościli Emma i Karia, była spokrewniona z Pedrem Arbellezem. Jego piękna siostra wyszła za mąż za Pirnera, który przywędrował do Guadalupe nie wiadomo skąd. Zajął się niewielkim interesem, ale z biegiem czasu rozwinął go tak, że stał się najbogatszym człowiekiem w całej okolicy.

Prędko owdowiał. Został sam z jedyną córką. Śmierć żony nie zaważyła na życiu Pirnera. Miał usposobienie wesole, nieskłonne do smutku. Żył szczęśliwie i beztrosko, a ściśle mówiąc, z jedną tylko troską: mianowicie jego córka Rezedilla nie zamierzała wyjść za mąż. Dawniej było mu to zupełnie obojętne. Ale teraz, gdy się postarzał, myśli o tym, że córka pozostanie sama, nie dawała mu spokoju. Koło ślicznej blondynki kręciło się wielu adoratorów. Żartowała i flirtowała ze wszystkimi, ale żadnego nie faworyzowała. Miała już około trzydziestki. Była ciągle ładna, choć — jak wiadomo — Meksykanki szybko się starzeją. Jej jasne włosy sugerowały inne, może nawet germańskie pochodzenie.

Pirnera był właścicielem wielkiego domu. Oprócz oficyny mieszczącej sklep i gospodę, znajdowały się tam piwnice służące za magazyny, na piętrze zaś — pokoje mieszkalne. Za murami fortu rozciągały się pastwiska, na których zatrudniał vaquerów.

Był letni dzień roku 1866. Od rzeki wiał ostry wiatr, postrach każdego myśliwego i pasterza. W szynku nie pojawił się ani jeden gość, więc seniorowi Pirnerowi humor nie dopisywał. Stał przy oknie gospody i w milczeniu patrzył na okolicę zasnutą gęstymi tumanami kurzu. Przy drugim oknie siedziała Rezedilla; wyszywała czerwoną chustkę, podarunek dla jednej ze służących. Stary zaczął bębnić palcami w szybę, co niezbicie świadczyło o złym humorze. Ilekroć taki przychodził, Rezedilla musiała wysłuchiwać wymówek, z których sobie jednak niewiele robiła. Bawiło ją nawet, że ojciec, posługując się byle jakim pretekstem, zawsze wraca do sprawy małżeństwa.

— Straszny wichur — skonstatował z westchnieniem. Nie odpowiedziała. Dodał więc po chwili:

— Istny huragan!

— Milczała. Wobec tego zapytał wprost:

— Nieprawdaż, Rezedillo?

— Owszem — odparła lakonicznie.

— Owszem? Tylko tyle? — zirytował się.

— No tak, straszliwy huragan.

— I pył okropny!

Rezedilla zamilkła znowu. Odwrócił się teraz do niej i rzekł:

— Jeżeli jesteś taka milcząca, trudno ci będzie wytrzymać z mężem, gdy już w końcu staniesz na ślubnym kobiercu.

— Milcząca żona jest więcej warta niż gadatliwa — zauważyła skwapliwie.

Pirnero chrząknął kilkakrotnie. Rozmowa nie kleiła się. Nie dając jednak za wygraną, podjął po chwili:

— Okropny wichur, istny huragan!

Nie uważała, aby ta w istocie błaha uwaga zasługiwała na odpowiedź. Pirnero kiwnął głową i znowu bębniąc palcami o szybę mruknął:

— Ani jednego gościa w szynku.

Ponieważ i na to nie było odpowiedzi, zaatakował ją wprost:

— Czy nie mam trochę racji? To źle, że dziewczyna rozgląda się za mężczyznami? A może...

— Nie — pokręciła głową. — Nie chcę żadnego.

— Żadnego? Głupstwa opowiadasz! Mężczyzna jest dla dziewczyny tym, czym podeszwa dla buta.

— Chodząc trzeba ją mocno dociskać? — zapytała ze śmiechem.

— Banialuki! Przecież bez butów nie można chodzić.

Nagle za oknem spadł drewniany rygiel, zerwany z dachu podmuchem wiatru.

— Widziałaś? — zawołał. — Widzisz, jaka dziura? A kto to zreperuje? Ja, tylko ja!

— Kto inny miałby się tym zająć? Chyba nie ja?

— Ty? Bzdura! Mąż! Jego obowiązkiem jest dbać o porządek. Gdzie nie ma mężczyzny, tam nie ma porządku. Zrozumiałaś?

Pocciwy papa Pirnero był trochę skąpy. Złościła go drobna szkoda, jaką wiatr wyrządził na dachu. Gdy się coś podobnego zdarzało, stawał się szczególnie gadatliwy.

— Ale musi to być zięć przyzwoity — ciągnął dalej. — Nie taki obdartus w łachmanach jak ten, który tutaj czasami przychodzi.

Nie patrzył na córkę, więc nie zauważył, że zarumieniła się. Widocznie obdartus nie był jej obojętny.

— Wiesz z pewnością, o kim mówię, co? — zapytał. Przytaknęła.

— No więc na tego się nie zgodzę! Jestem ambitny, odziedziczyłem to po swoich przodkach. Czy wiesz, kim był mój ojciec?

— Kominiarzem.

— Zgadza się. Kominiarze to ludzie, którzy spoglądają z wysoka. A mój dziadek?

— Handlował chrzanem.

— Doskonale! On też miał żyłkę do handlu. Dzięki niej stałem się bogatym człowiekiem. Trzeba ci od czasu do czasu przypominać pochodzenie, ojczyznę i miasto rodzinne. Zapomniałaś może, z jakiego pochodzisz kraju?

— Nie zapomniałam — ledwo powstrzymała uśmiech. — Z Niemiec.

— Dokładnie z Saksonii, znanej z pięknych dziewcząt. Nigdzie na świecie nie ma piękniejszych panien, ale muszą wychodzić za mąż. Inaczej źle z nimi. Rozumiesz? Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Byłem ładnym chłopcem, po matce i babce. I ty odziedziczyłaś urodę, dlatego nazwałem cię Rezedą, Rezedilla. Co się tyczy miasta rodzinnego, znasz jego nazwę, co?

— Owszem. Pirna.

— Tak jest, Pirna. To najpiękniejsze miasto na świecie. Dlatego od niego przybrałem nazwisko. Byłem interesującym kawalerem i twoja matka zakochała się we mnie do szaleństwa. Ale ty nie chcesz męża, nawet gdyby pochodził z Pirny, co? Kto mi więc naprawi szkodę na dachu?

— Byłby tak gadał do sądnego dnia, gdyby nie rozległ się tętent kopyt końskich. Zbliżał się jakiś jeździec. Nie zatrzymał wierzchowca przed ogrodzeniem, tylko przeskoczył przez nie. Teraz dopiero zsiadł z konia i przeszedłszy obok okna, skierował się ku wyszynkowi.

— Otóż i jest ten wagabunda — złościł się gospodarz. — Wcale za nim nie tęsknię, nawet gdy nie ma w szynku żywej duszy. Niech nie marzy o tym, by zostać moim zięciem!

Rezedilla pochyliła się nad robótką, aby ukryć rumieńce, które wystąpiły jej na twarzy. Tymczasem gość wszedł do izby. Ukłonił się grzecznie, usiadł przy stole i poprosił o szklankę zimnego napoju, zwanego julepem (napój alkoholowy z ziołami), bardzo lubianego w południowych stanach Ameryki.

Mężczyzna był wysokiego wzrostu, mocnej budowy, twarz jego okalała ciemna broda. Wyglądał bardzo młodo, choć minęła mu już trzydziestka. Ubrany był w meksykańskie

spodnie i wełnianą bluzę, rozpiętą z przodu i odsłaniającą muskularną pierś. Biodra opasywał wąski pas skórzany, za którym tkwiły dwa rewolwery i nóż. Strzelba, którą oparł o stół wydawała się nic nie warta, a i cała odzież wyglądała nędznie. Kto jednak przypatrzył się bliżej jego mocnym ramionom, łagodnym rysom, wielkim ciemnym oczom, nie zwracał uwagi na ubiór. Gdy zdjął kapelusz o szerokim rondzie, ukazała się na jego czole głęboka, ledwie zagojona blizna.

— Jaki j ulep mam podać? — zapytał gospodarz ostro. — Z miętą czy z kminkiem?

— Z miętą.

Pirnero wszedł za ladę i przyniósł napój, po czym usadowił się przy oknie. Gość popijał go z wolna. Całą uwagę zdawał się kierować, tak samo jak gospodarz, na okno. Bystry jednak obserwator dostrzegłby z pewnością, że wzrok mężczyzny co pewien czas ukradkiem spoczywał na dziewczynie, która rumieniąc się, spuszczała oczy.

Staremu milczenie zaczęło już nazbyt ciążyć. Chrząknawszy, zwrócił się do przybysza:

— Straszliwy wiatr.

Nie zareagował. Dopiero na następną uwagę odpowiedział obojętnie:

— Niezgorszy.

— I pył okropny.

— Phi.

— Co pan przez to rozumie? Czy to nie jest pył?

— Ależ owszem, pył. Komu on jednak przeszkadza?

— Ubranie się niszczy.

— Można przecież włożyć stare. Była to woda na młyn Pirnera.

— No właśnie! Senior odział się dzisiaj dosyć podle — powtarzał zjadliwie. — Czy nie ma pan lepszego ubrania?

— Nie.

Starego aż zatrzęsło. Jak każdy Meksykanin przywiązywał wagę do swego wyglądu. Ubierał się jaskrawo, barwnie, chętnie nosił lśniąca broń, stroił konia złotymi i srebrnymi ozdobami. A ten obdartus? Na ordynarnych butach nie miał nawet ostróg, mimo że wszyscy je noszą, i to olbrzymich rozmiarów.

— A dlaczego pan nie ma? — pytał dalej.

— Bo za drogie dla mnie.

— Ach, więc senior jest biedakiem?

— Tak — odparł obojętnie. Zauważywszy jednak, że Rezedilla oblała się rumieńcem, posłał jej przepaszające spojrzenie.

Pirnero nie zwrócił na to uwagi i z coraz większą natarczywością kontynuował przesłuchanie.

— Kim właściwie pan jest?

— Myśliwym.

— Myśliwym? I z tego senior żyje?

— Oczywiście.

— W takim razie żal mi bardzo pana. Z czego teraz myśliwy może wyżyć? Dawniej były inne czasy i inni myśliwi — godni najwyższego szacunku. Czy słyszał senior o Niedźwiedzim Sercu?

— Tak, to sławny Apacz.

— A o Bawolim Czole?

— Nazywano go królem łowców, polował na bawoły.

— A o Piorunowym Grocie?

— To był Niemiec.

— Mój ziomek — powiedział gospodarz z dumą. — Pochodzę z Pirny pod Dreznem. Kiedyś wielkim westmanem był Władca Skał, także Niemiec, ale zaginął. A i teraz jest taki jeden westman, chyba jeszcze większy od tamtych. Czy słyszał pan kiedyś o Czarnym Gerardzie?

— Oczywiście. A co się z nim stało?

— Ugania się teraz tutaj, wzdłuż granicy. Podobno nosi czarną brodę i dlatego nazywają go Czarnym Gerardem. Musi to być chyba wcielony szatan, bo nie boi się samego diabła. Strzały jego nigdy nie chybiają, a uderzenia noża zawsze są celne. Odkąd przybył z północnych gór, drogi zostały prawie całkowicie oczyszczone z rozbójników. Mam mu bardzo wiele do zawdzięczenia, gdyż dawniej zbóje często rabowali mi towary. Taki człowiek byłby mi... — urwał, nie skończywszy zdania. Co ja plotę — pomyślał. Po chwili mówił dalej: — Chciałbym wiedzieć, jakiej narodowości jest ten człowiek. Może urodził się w Pirnie. Wszyscy mieszkańcy tego miasteczka są bardzo waleczni. A z jakiego kraju senior pochodzi?

— Z Francji.

— O rety, więc jest pan Francuzem?

— Oczywiście.

— No tak. Hm. No, to dobrze.

Pirnero gwałtownie przerwał rozmowę. Po chwili wstał i wyszedł z izby, dawszy przedtem znak córce, by poszła za nim.

— Słyszałaś — spytał, gdy znaleźli się w spiżarni — kim jest ten człowiek?

— Jak miałam nie słyszeć? Francuzem.

— Musimy więc uważać. Myślę, że wiesz, iż Francuzi przywieźli nam austriackiego księcia, który ma zostać cesarzem Meksyku.

— To tajemnica poliszynela.

— Moim zdaniem Austriacy to poczciwi ludzie. Nie mam nic przeciwko nim, zwłaszcza że księżę Maks jest podobno porządnym człowiekiem. Meksykanom nie podoba się jednak to, że popierają go Francuzi. Powiadają, że Napoleon III jest kłamcą, że nie dotrzymał obietnic i że księcia Maksa wystrychnął również na dudka. Nie chcą żadnego cesarza, chcą prezydenta, którym ma być Juarez.

— Ten, który przebywa teraz w Paso del Norte?

— Tak. Francuzi zamierzają go schwytać i uwięzić. Omal im się to nie udało w Chihuahua. Na szczęście uciekł do Paso del Norte. Rozeszła się jednak wieść, że wysłali za nim patrole. Dlatego trzeba strzec się tego Francuza.

— Co ciebie to obchodzi? Co obchodzi cię Juarez?

— O, bardzo wiele — odrzekł z poważną miną. — Dotychczas nie zdradzałem się przed tobą, że mam wyjątkowy talent do polityki.

— Ty? — Rezedilla była szczerze zdumiona.

— Tak, ja. Wszyscy mieszkańcy Pirny są dobrymi politykami. Mam w Presidio jeszcze kilka posiadłości, a tym samym prawo głosu. I nie jest mi obojętne, czy będziemy mi chcieli księcia Maksa czy prezydenta Juareza. Maks poczciwy, ale nie utrzyma się, zależny jest bowiem od Francuzów. Aby stworzyć cesarstwo Meksyku, Napoleon zaciągnął dwie pożyczki. Meksyk otrzymał marne czterdzieści milionów, pięćset zagarnęła Francja. Jest to jawne oszustwo. I dlatego Juarez chce przepędzić Francuzów, a my go popieramy. Potrzeba mu jednak pieniędzy. Wysłał więc posła do prezydenta Stanów Zjednoczonych z prośbą o pożyczkę. Przed kilkoma dniami poseł wrócił z wiadomością, że Stany Zjednoczone nie będą popierać cesarza meksykańskiego, za którym stoją Francuzi, i że udzieli Juarezowi pożyczki w wysokości trzydziestu milionów dolarów. Część tej sumy jest już w drodze. Przewożą ją lądem. Francuzi dowiedzieli się o tym i bardzo prawdopodobne, że zechcą przechwycić przesyłkę. Gdyby pieniędzy nie można było transportować dalej, zostaną ukryte tu, w Guadalupe, u nas w domu. Juarez wyśle wzmocnione strażę. Rozumiesz więc, że w tej sytuacji musimy strzec się Francuzów. Mogą przecież przysłać szpiegów. A może już się to

stało? Coś mi mówi, że ten łotr, który tam siedzi, jest jednym z nich. Milczy, na pytania odpowiada półgębkiem, jakby pilnował, co się dzieje na dworze. Nawet na ciebie nie spogląda.

Rezedilla czuła, że ojciec się myli. A może jednak nie? Czyżby zawiodła mnie intuicja? — pomyślała.

— Ten człowiek nie wygląda na szpiega — odezwała się po chwili.

— Nie? Nie bądź taka pewna. Mimo wszystko wolę, aby mnie ten Francuz więcej nie oglądał. Gotów jeszcze zmiarkować, jaką rolę tu pełnię. Dlatego będziesz go sama obsługiwała. Ale błagam, na litość boską, nie wygadaj się, że jestem zwolennikiem Juareza.

Rezedilla z trudem zachowując powagę, powiedziała:

— Nie martw się o to, odziedziczyłam po tobie talent dyplomatyczny.

— Jestem pewien, że go masz, to przechodzi z ojca na córkę. Wracaj więc do gospody i załatw dobrze sprawę. Bądź nawet dla niego uprzejma, aby nie budzić podejrzeń. Dobry dyplomata musi uspić czujność swych wrogów.

Rezedilla weszła do izby z uśmiechem na twarzy. Bez słowa usiadła przy oknie. Nieznajomy milczał również. Po chwili przerwała ciszę:

— Czy jest pan naprawdę Francuzem, senior?

— Tak. Czy wyglądam na człowieka, który by panią okłamywał, seniorita?

— Nie. Myślałam tylko, że pan żartuje. Francuzi nie są w tych okolicach lubiani.

— Ja ich również nie lubię.

— Ach! — zdumiała się. — Ale przecież jest pan Francuzem.

— Urodziłem się wprawdzie we Francji, ale nigdy nie wrócę do ojczyzny.

— Czy opuścił ją pan pod przymusem?

— Nie, dobrowolnie. W każdym razie nic mnie z nią nie łączy.

— To musi być przykre.

— Mniej niż inne rzeczy, na przykład niewierność lub zdrada.

— Czy doznał pan tego?

— Niestety tak.

Na twarzy jego pojawił się wyraz smutku. Zaciekawiona dziewczyna pytała dalej:

— Ukochana pana zdradziła?

— Tak.

— Musiała to być zła, bezduszna dziewczyna.

— Męczyła mnie bardzo i zatrzymała mi życie.

— Kochał ją pan?

— Tak, bardzo — odparł krótko.

Ton ten spodobał się Rezedilli. Ilu mężczyzn w taki sposób rozmawiałoby z kobietą, i to obcą w dodatku? — pomyślała. — Musi się pan starać zapomnieć o niej, senior.

— Nie mogę. Nie kocham jej wprawdzie, ale tak mnie unieszczęśliwiła, że nie jestem w stanie jej zapomnieć.

— Tego nie rozumiem. Jak pan może być nieszczęśliwy, gdy jej pan nie kocha?

— Ponieważ nieszczęście moje nie jest skutkiem jej niewierności, lecz zdrady.

— Ach, powiedziała o panu coś złego? Było to kłamstwo?

— Nie, seniorita, była to niestety prawda.

Rezedilla zmieszała się, nie spodziewając się tak szczerego wyznania.

— Żartuje pan? — spytała z niedowierzaniem.

— Dlaczego miałbym żartować. Powiedziałem prawdę. Pochyliła głowę, na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

Rzekła nieco chłodniejszym tonem:

— Niech mi pan wybaczy, że wypytuję. Ale senior był tu u nas zawsze taki cichy i smutny, że zrobiło mi się pana żal. I pomyślałam sobie, że przyjazne słowo może byłoby dla pana pociechą. Są ludzie, którzy już w pierwszej chwili poznania nie wydają nam się obcy. Czy doznał pan tego kiedyś?

— Tak. Tutaj, dzięki pani.

— Zarumieniła się.

— Niech mi pani nie bierze za złe tego, co powiedziałem. Jeżeli obraziłem panią, odejdę i nie wrócę już nigdy.

— O, nie! Proszę tego nie robić, senior. A teraz niech mi pan zrobi przyjemność i się rozchmurzy. A jeżeli nie chce senior już nic więcej powiedzieć o sobie, chciałabym przynajmniej usłyszeć, jak się pan nazywa.

— Mason.

— Mason? Dobrze wymawiam? A imię?

— Gerard.

— To tak jak ten Czarny Gerard, o którym wspominał mój ojciec. I pan również ma czarną brodę. Czy może mi senior powiedzieć, co właściwie oznacza to imię?

— Gerard to siłacz i obrońca, tak mi kiedyś powiedział nauczyciel.

— I pan wygląda na siłacza. A kto jest silny, potrafi być również obrońcą.

— Niestety, nie byłem nim, wprost przeciwnie.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Popatrzył na nią ze smutkiem i wyjaśnił:

— Byłem garroteurem.

— Garroteurem? Nie rozumiem, co to znaczy?

— Z pewnością nie spotkała się pani nigdy z tym określeniem. Niechże się więc pani dowie, seniorita, że w wielkich milionowych miastach żyją tysiące ludzi, którzy zasypiając wieczorem nie wiedzą, czy będą jedli chleb następnego dnia. Są też i tacy biedacy, którzy wieczorem powiadają sobie: „Jeżeli w nocy nie ukradniesz chleba, rano będziesz wił się z głodu”. To niewolnicy zbrodni, choć nie oni ponoszą za to winę. Ojciec wychowuje syna na zbrodniarza, matka córkę. Nikt w dzieciach nie rozwija szacunku dla prawa. I tak żyją jak dzikie, drapieżne zwierzęta.

— Mój Boże, jakie to straszne!

— Nawet nie domyśla się pani, jak bardzo.

— Ale senior chciał przecież mówić o sobie?

— I mówię. Sam byłem takim zwierzęciem.

— Nie może być.

— A jednak to prawda. Nie oskarżam nikogo, wyznaję tylko, że byłem posłuszny ojcu. Byliśmy biedni, lecz gardziliśmy pracą. Ojciec mój miał słabą naturę i sam nie lubił kraść. Posyłał więc na rabunek mnie, silnego chłopaka. Stałem się garroteurem. Wałęsałem się po ulicach, zachodziłem od tyłu przechodniów, zarzucałem na ich szyje pętlę i zaciskałem. Gdy tracili przytomność, okradałem ze wszystkiego.

— O mój Boże, jakie to okropne! — zawołała Rezedilla.

Była trupio blada. Siedział przed nią mężczyzna, którego mogłaby pokochać, i opowiadał, że jest zbrodniarzem. Jaka okrutna szczerłość! Drżała jak w febrze.

— Tak, to okropne — ciągnął dalej z obojętnością człowieka, który przeżył już najgorsze. — Ale to jeszcze nie wszystko. Poznałem dziewczynę, kochaliśmy się, oddawałem jej wszystko, co zdobyłem rabując. Później spotkałem łotra spod ciemnej gwiazdy. Zapłacił mi złotem i chciał, abym popełnił zbrodnię. Zgodziłem się pozornie, bo w rezultacie obroniłem niedoszłą ofiarę i za karę zabrałem pieniądze temu, który kazał mi ją zamordować. Chciałem zerwać z dotychczasowym życiem, oddałem wszystko Mignon. Zdradziła mnie jednak z pewnym wytwornym dżentelmenem. Gdy zacząłem grozić, oświadczyła, że mnie zadenuncjuje.

— Co pan wtedy zrobił? Zabił ją?

— Nie. Odszedłem i zacząłem pracować. Och, cierpiałem wtedy wiele i walczyłem ze swym najgroźniejszym przeciwnikiem — z sobą samym. Zostałem uczciwym człowiekiem, gdyż mam zwyczaj osiągać to, co zamierzyłem. Przebywając wśród prawych ludzi coraz

bardziej uświadamiałem sobie ohydę popełnionych zbrodni. Ta świadomość wypędziła mnie z ojczyzny w dalekie kraje. Chcę za wszystko odpokutować i umrzeć.

W oczach Rezedilli pojawiły się łzy. Trudno określić, czy były to łzy bólu, rezygnacji, czy też płakała nad grzesznikiem gotowym do pokuty, z którego niebo bardziej się cieszy niż z biblijnych dziewięćdziesięciu pięciu sprawiedliwych. Westchnęła głośno, podniosła głowę, popatrzyła na niego uważnie i zapytała:

— Senior, dlaczego opowiada mi pan to wszystko?

— Zaraz pani się dowie. Gdy mnie zdradziła Mignon, zawędrowałem do Ameryki. Zacząłem przemierzać góry, pustynie i sawanny jako myśliwy. Zyskałem sławę. Tutaj też poznałem, co to samotność. Lecz gdy ujrzałem panią, uświadomiłem sobie, czym jest prawdziwa miłość. Gdy spostrzegłem, że patrzy pani na mnie ze współczuciem, postanowiłem wyjawić całą prawdę. Nie mogłem dopuścić, by pani oddała serce niegodnemu. I dlatego, seniorita, tylko dlatego opowiedziałem, kim byłem. A kiedy już mówiłem, miałem wrażenie, że siedzę przed spowiednikiem lub przed samym Bogiem. Kto przyznaje się do swych grzechów i żałuje za nie, temu zostaną darowane. Prawda? Odchodzę teraz i nigdy już nie wrócę. Pani zaś uwolni się od obecności człowieka przeklętego. Proszę jednak, aby seniorita nie mówiła o mnie nikomu. Mogłaby pani w ten sposób zaszkodzić wielu ludziom, którym jestem teraz potrzebny, a ja sam musiałbym opuścić te strony.

Wstał i wziął strzelbę. Rezedilla również podniosła się z krzesła. Zbladła jeszcze bardziej.

— Senior — rzekła — był pan ze mną bardzo szczery, niechże więc pan mi powie jeszcze jedno. Czy jest pan francuskim szpiegiem?

— Nie, nie jestem.

— I nie sprzyja pan Francuzom?

— Nie. Nienawidzę cesarza, który hołduje kłamstwu, a jego rządy są despotyczne i krwawe. Potrafiłbym zabić Napoleona za to, że skazuje na zagładę księcia Maksymiliana. Sercem jestem z Meksykanami, kocham Juareza. Czy to pani wystarczy, seniorita?

— W zupełności. Jestem teraz spokojna.

— Żegnam więc panią.

— Naprawdę pan odchodzi?

— Tak. Odchodzę od pani na zawsze. Ale w Guadalupe zjawię się jeszcze kiedyś.

Spojrzenia ich spotkały się. Obojgu łzy zakręciły się w oczach. Gerard miał ochotę objąć ją, czuł, że i ona tego pragnie. Ale opanował się, nie miał przecież prawa łączyć losu dziewczyny ze swoim.

Gdy wyszedł z gospody, Rezedilla ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła głośnym płaczem.

— Nazywa się Gerard — łkała. — Tak, zasługuje na to imię. Jest naprawdę mocny, walczył ze sobą i zwyciężył. Jakże musiał cierpieć! I jak ciężkie będzie moje życie! Nie, tak być nie może, nie może...

Gerard słyszał pod drzwiami jej szloch, nie zawrócił jednak. Dosiadł konia, przywiązał kapelusz pod brodą, zarzucił strzelbę na ramię i pogalopował. Omijając bramę, przesadził wysokie ogrodzenie i pognał ku zachodowi. Nie zważał na huragan, który szalał wokoło. Na prerii zatrzymał konia i rzucił się na ziemię. Uciekał od miłości, nie zastanowiwszy się nawet, czy ucieczka taka jest możliwa.

Dawny grzesznik stał się pokutnikiem. Nie był to jednak biczownik ubrany w worek, z głową posypaną popiołem, spędzający dni na umartwianiu się, lecz człowiek, który postanowił przepędzić bandy zbójckie z sawanny. Uważał za konieczne zataić przed Rezedilla, że jest tym, którego wszyscy nazywali Czarnym Gerardem.

Długi czas leżał na ziemi. Koń tymczasem najadł się i też odpoczywał. Nagle zerwał się i zaczął rzeć, co dla jego pana było nieomylnym znakiem, że zbliża się ktoś obcy albo wrogi. Gerard podniósł się i uważnie rozejrzał po prerii. Zobaczył jeźdźca, który pogalopował w jego kierunku. Twarz mu się rozpogodziła.

— Nie bój się — zawołał do konia — to Niedźwiedzie Oko, nasz przyjaciel! Czekam na niego!

Koń widocznie zrozumiał, bo położył się na trawie, nie zdradzając już żadnych oznak niepokoju.

Nawet z daleka widać było, że jeździec jest czerwonoskórym. Nie miał wprawdzie na sobie stroju indiańskiego, a na głowie ozdób z piór, był ubrany jak Meksykanin, ale sposób jego jazdy, pochylenie się na szyi konia aż do pozycji niemal leżącej, nie pozostawiały wątpliwości, że to Indianin. Tak jeździć na koniu może tylko długoletni mieszkaniec sawanny.

Zatrzymawszy się przy Gerardzie, lekko zeskoczył z konia. Wcześniejsze wyznaczenie miejsca spotkania na prerii świadczyło, że obaj orientują się doskonale w warunkach topograficznych.

Niedźwiedzie Oko był jeszcze młodzieńcem. Ktoś, kto widział kiedyś Niedźwiedzie Serce, z pewnością zauważyłby duże podobieństwo między nimi.

— Mój czerwony brat każe długo czekać na siebie — rzekł Francuz.

— Czy mój biały brat przypuszcza, że Shosh-in-tah nie umie jeździć konno? Spóźniłem się, ponieważ dużo czasu zajęło mi wyśledzenie...

— Kogo? Gdzie?

— Byłem u Juareza w Paso del Norte. Zameldowałem, że przyprowadzę pięciuset dzielnych wojowników Apaczów, aby pomogli mu odebrać z powrotem Chihuahua. Oświadczyłem również, że umówiłem się tutaj na spotkanie z moim białym bratem. Juarez prosił, abys odwiedził w Chihuahua senioritę Emilię.

— Odwiedzę ją niezwłocznie, ponieważ sam uważam to za konieczne.

— Jak długo będziecie w Chihuahua?

— Nie wiem, może tydzień.

— Od dziś za tydzień, dokładnie w południe, spotkasz mnie i moich wojowników pod wielkim dębem na górze Tamises.

— Dobrze, zabiorę dużo koni. Teraz daję ci mojego, aby wypoczął.

— Niech Wielki Duch ochrania mego białego brata. Howgh!

Rozstali się. Niedźwiedzie Oko odjechał na zachód, zabrawszy konia Gerarda. Ten zaś udał się pieszo w kierunku Guadalupe. Po drodze schwytał nie osiodłanego konia, pasącego się na pastwisku, wskoczył nań zwyczajem prawdziwych vaquerów i ruszył z początku truchtem, potem zaś pełnym galopem.

W owym czasie zabierania koni nie uważano za kradzież. Biegały wolno po preriach i można je było łatwo złapać.

Były garroteur świetnie orientował się w terenie. Gnał na koniu do południa, potem wymienił go na innego, ze stada, które spotkał po drodze. I znów pędził galopem aż do następnego dnia. Późnym popołudniem zobaczył przed sobą Chihuahua. Nie mógł wjechać do miasta za dnia nie zauważony przez posterunki. A innej drogi nie było. Musiał więc czekać, aż się ściemni. Przywiązał konia w lesie do drzewa i odpoczywał. Gdy zapadła noc, zaczął się skradać do miasta, w którym doskonale znał każdy dom, każdą uliczkę.

Tylko takiemu człowiekowi jak Gerard mogło się udać przejście przez posterunki i usypane szanice. Wkrótce znalazł się w ogrodach. Przesadził ostrożnie jakiś płot, przykucnął i trzykrotnie zakrakał jak czarnogłowy sęp w chwili, gdy się budzi ze snu. Nie było odpowiedzi. Gdy powtórzył sygnał, otworzyła się furtka. Pojawiła się kobieta i stanawszy w nieznaczej od niego odległości, zapytała:

— Kto tu?

— Meksyk — odparł.

— Kto idzie?

— Juarez.

— Niech senior zaczeka chwilę.

Wróciła po kwadransie. Podeszła teraz zupełnie blisko do Gerarda i powiedziała:

— Droga już wolna. Oto szata.

Był to habit mnicha. Kiedy go wdział, ostrzegła:

— Dziś musi pan być szczególnie ostrożny. Umówiła się z majorem.

— To dobrze. Czy jest już u niej?

— Nie. Przyjdzie dopiero za dwie godziny.

— To moja strzelba. Pilnuj jej dobrze, proszę.

— Kiedy pan będzie z powrotem?

— Tego nie wiem. Obudzę panią, gdy wrócę.

Ubrany w habit, skierował się na lewo, gdzie w murze widniała furtka. Wszedł na podwórze. Wąskie schody prowadziły na górę. Wdrapał się po nich i znalazł przed uchylonymi drzwiami. Wszedł do korytarza, minął w ciemnościach kilka otwartych drzwi, aż wreszcie zatrzymał się przed zamkniętymi. Zapukał. Odpowiedziano mu głośno: „Wejść!” i w tej samej chwili odsunięto rygiel. Oślepiło go światło, w jego blasku stała kobieta niezwykle piękności.

— Nareszcie, mój drogi Gerardzie, nareszcie znowu jesteś! Pociągnęła go na otomanę i usiadła obok. Siedzieli w milczeniu przez chwilę, on ubrany w brudną, przepoconą bluzę — habit zrzucił w przedpokoju — ona w kosztownej sukni z jedwabiu.

— Chciała pani, jak widzę, wyjść? — zauważył.

— Tak. Miałam zamiar pójść na tertulię — (rodzaj herbatki) — potem spodziewam się majora. Chętnie jednak zrezygnuję z tej przyjemności.

— Z której przyjemności chce pani zrezygnować? — zapytał wesoło. — Z tertulii czy z majora?

— Z pierwszej, odwiedziny majora nie są żadną przyjemnością.

— Wyobrażam sobie.

— Tym miłsze będzie mi towarzystwo pana. Niechże pan opowiada! Co u prezydenta?

— W dalszym ciągu niedobrze. Musi się ukrywać. Nie traci jednak nadziei i czeka na sprzyjającą okazję, aby przejść do ataku. Będzie to możliwe, gdy tylko nadejdzie przesyłka pieniędzy.

— Ach, gdyby tu już była! I ja bardzo potrzebuję pieniędzy. Prezydent jest mi od trzech miesięcy winien pensję. Uchodzę za bogatą, muszę prowadzić dom otwarty, abym mogła załatwiać wasze sprawy. Ale moja kasa opustoszała i musiałam pozaciągać pożyczki.

— Sytuacja materialna prezydenta jest również żalosna. Jeżeli przysłała pani pieniądze, to dowód, że docenia pani zasługi.

— Przysłała pieniądze? — ucieszyła się.

— Tak, przeze mnie. Od dwóch tygodni noszę je przy sobie. Niech mi pani wybaczy, naprawdę nie mogłem przybyć tu wcześniej.

— Nie usprawiedliwiał się, kochany Gerardzie; znam pańską troskliwość o mnie. Ile mi pan przywiózł?

— Pensję za pół roku, to znaczy za trzy miesiące ubiegłe i za trzy przyszłe. Zadowolona pani?

— Bardzo, bardzo! Czy to banknoty?

— Tak. Jak mógłbym nosić przy sobie tyle monet?

— Angielskie czy amerykańskie?

— Angielskie.

— To bardzo przezornie. Amerykańskie mogłyby mnie zdemaskować.

Gerard wyciągnął z buta myśliwskiego spory zwitek i podał Emilii. Przeliczyła i rzekła:

— W porządku. A więc jestem znowu bogata. No teraz, kochany Gerardzie, musi mi pan zrobić tę grzeczność i zjeść coś ze mną.

— Z największą przyjemnością, jestem głodny jak wilk. Wyszła i zarządziła, aby podano kolację. Gerard jadł z apetytem. Gdy skończył, usiadła obok niego i zaczęła mówić:

— Wiadomo panu z pewnością, że mamy nowego prezydenta.

— Raczej kogoś, kto chce zostać prezydentem. Ale nic o tym nie słyszałem. Kto to taki?

— Niejaki Pablo Cortejo ze stolicy. Zarządzał dobrami hrabiego Fernanda de Rodriganda.

— Jeżeli jest w Meksyku, jak się może spodziewać, że zostanie wybrany? Stolica dostała się przecież w ręce Francuzów.

— Powiedziałałam, że pochodzi z Meksyku, nie mieszka tam jednak. Chwilowo przebywa w prowincji Chiapas.

— Czy ma zwolenników?

— Jako jeden z pierwszych opowiedział się przeciw Francuzom, podczas gdy Pantera Południa jeszcze się nie zdecydował. Dopóki Juarez był potężny, Cortejo nie miał odwagi ujawnić swych zamiarów, teraz jednak je odkrył i stara się przeciągnąć na swoją stronę południowe prowincje, w których Francuzi nigdy nie czuli się pewnie.

— Czy osiągnął jakieś sukcesy?

— Nie wydaje mi się, aby były zbyt duże, Pantera Południa ciągle się waha, a to okoliczność niezbyt sprzyjająca, wiadomo bowiem, że wielu go popiera.

— Nie sędzę, by ten Cortejo mógł nam poważnie zaszkodzić.

— Kto to wie? A jeśli ma pieniądze? Te przecież u Meksykanów odgrywają tak dużą rolę. Ciekawe, że zwolenników werbuje mu córka.

— Córka? Piękna? Młoda?

— Dlaczego piękna i młoda?

— Ponieważ są to dwa przymioty, którym trudno się oprzeć, pani na przykład jest stworzona do tego, by kaptować zwolenników.

— Robię to dla Juareza. Co się jednak tyczy córki Corteja, to nie jest ani młoda, ani piękna. Przeciwnie, seniorita Josefa wygląda po prostu jak strach na wróble.

— Zna ją pani?

— Nie Widziałam tylko jej fotografię. Powiadają, że uważa się za piękną. Musi to być prawda, inaczej nie kazałyby się fotografować i tysiące odbitek nie rozdawałyby na prawo i lewo.

— Ma pani jej fotografię?

— Owszem.

— Proszę mi pokazać.

Emilia wyciągnęła z szufladki fotografię i podała Gerardowi. Roześmiał się głośno.

— Wspaniałe studium brzydoty! Trudno wprost pojąć, jak może zachwycać się swoją urodą!

— No cóż, zostawmy to jej. Jakie ma pan jeszcze nowiny?

— Napoleon zaczyna wreszcie paktować ze Stanami Zjednoczonymi na temat Meksyku.

— W takim razie zbliża się początek końca arcyksięcia Maksymiliana. Ameryka nie dopuści do utworzenia tu cesarstwa.

— Oczywiście. Wynika to wyraźnie z noty sekretarza Stanów Zjednoczonych, Sewarda, przekazanej w roku 1864 posłowi amerykańskiemu w Paryżu, Daytonowi.

— Czy zna pan jej treść?

— Owszem — wziął głębszy oddech i zaczął recytować: „Przesyłam panu odpis decyzji, która czwartego bieżącego miesiąca powzięta została jednogłośnie: ciała ustawodawcze wypowiadają się przeciwko utworzeniu cesarstwa w Meksyku. Jak już wcześniej) panu pisałem, nie uważam za potrzebne podkreślać, powiadamiając o tej decyzji Francję, że jest ona odzwierciedleniem powszechnego poglądu społeczeństwa amerykańskiego na sprawy Meksyku”.

— Ależ pan ma pamięć! To chyba dosłowny cytat?

— Kto jest tak przywiązany do Juareza jak ja, ten nie może nie pamiętać tak znaczących tekstów.

— Wszelkie więc nadzieje Maksymiliana są jedynie mrzonkami. Jak odpowiedział cesarz Francji?

— Dufny w swą potęgę, zapytał posła Ameryki: „Chcecie wojny czy też pokoju?” Pewien był, że Stany Zjednoczone, nękanie wojnami domowymi, ugną się przed możliwością wojny z Francją. Ale pomylił się. I teraz, jak mówiłem, rozpoczął z Ameryką pertraktacje pokojowe. Jest to oczywisty dowód, że w niczym już arcyksięciu nie pomoże.

— Kochany Gerardzie, musimy niestety kończyć. Za dwie minuty zjawi się tu major, jest zawsze niezwykle punktualny.

— Proszę o klucz i latarkę.

— Otworzyła szufladę biurka i wyjęła to, o co prosił.

— Ubranie leży przygotowane — powiedziała.

— Jak długo będzie u pani major? — zapytał.

— To zależy, ile czasu zajmie panu uporanie się z jego papierami.

— Tego nie mogę przewidzieć. W każdym razie proszę o godzinę.

— Dobrze. Niech się senior nie da schwytać na gorącym uczynku. Gerard wyszedł z pokoju bocznymi drzwiami i znalazł się w małej komórcie, służącej do przechowywania rupieci. Nie było w niej światła, zapalił więc latarkę, a zobaczywszy na krześle ubranie lokaja, przebrał się w nie.

Po chwili do salonu Emilii wszedł major. Gerard nieraz już podsłuchiwał z tej komórki, znał więc dobrze jego głos.

— O Dios, jaka pani dziś piękna, seniorita! — zachwycił się major.

— Pochlebia mi pan. Jestem zmęczona i wyczerpana.

— Dlaczego, łaskawa pani?

— Cierpię przez cały dzień na silne bóle głowy.

— Migrena?

— Tak. Nie przyjęłabym pana, gdyby nie to, że się wcześniej umówiliśmy.

— Co za nieszczęście. A więc odsyła mnie pani?

— No, nie zaraz. Zobaczę, jak długo wytrzymani. Proszę siadać. Gerard, zadowolony z tego wstępu, zgasił latarkę i włożył do kieszeni. Potem opuścił pokoi, wyszedł na oświetlony ganek i zaczął się rozglądać, czy kogoś nie ma w pobliżu. Nie zauważywszy nikogo, zbiegł po schodkach, wyciągnął klucz — był to rodzaj wytrycha, pasującego do wszystkich zamków — i otworzył drzwi do apartamentu majora. Znał te pokoje, już nieraz wchodził do nich potajemnie.

Cały dom należał do Emilii, major zajmował w nim jedno skrzydło. Gerard zamknął za sobą drzwi i wyjął latarkę. Przedpokój, w którym się znajdował, prowadził do gabinetu majora. Ponieważ okiennice były zamknięte, panowały tu zupełnie ciemności. Nie obawiał się więc, że może go ktoś spostrzec przez okno.

Na trzech stołach rozłożone były mapy, plany, książki i rysunki. Gerard zajął się nimi, szczegółowo wszystko przeszukując. W pewnym momencie musiał znaleźć coś ważnego, wyciągnął bowiem z szuflady kawałek papieru i zaczął robić notatki oraz kopiować poszczególne zapiski. Spieszył się bardzo — miał przecież zaledwie godzinę czasu.

Kiedy skończył, uporządkował papiery i książki, a notatki i odpisy schował do kieszeni. Zgasił latarkę, po ciemku podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i cicho je otworzył. Przez sień przechodził właśnie lokaj. Cofnął się więc, potem wybiegł na palcach, zamknął pospiesznie drzwi do mieszkania i wślizgnął się do komórki. Tu znów zmienił ubranie. Zawsze, ilekroć potajemnie wchodził do apartamentu majora, przebierał się, żeby uchodzić za służącego na wypadek, gdyby go zauważono.

Zadowolony, że wszystko poszło gładko, zbliżył się do drzwi pokoju Emilii i zaczął nasłuchiwać. Major właśnie się żegnał.

— Jestem niepokieszony — mówił — że nie mogę dłużej pozostać z panią.

— Ja również jestem nieszczęśliwa — powiedziała Emilia.

— Kiedy będę mógł panią znowu odwiedzić?

— Za cztery dni.

— Dopiero za cztery dni? Dlaczego naznacza seniorita tak odległy termin?

— Spodziewam się, że do tego czasu będę zupełnie zdrowa.

Migrena to dokuczliwa choroba.

— W takim razie nie określamy terminu, przyjdę, jak tylko pani będzie zdrowa.

— Zgoda.

— Zawiadomi mnie pani, dobrze?

— Oczywiście.

— Dziękuję, a dziś życzę dobrej nocy.

Major wyszedł, Gerard jednak wolał jeszcze odczekać chwilę, bo obawiał się, że Francuz może wrócić pod byle jakim pretekstem. Emilia sama otworzyła drzwi.

— Jest pan? — zapytała.

— Tak. Czy opowiadał coś ciekawego?

— Nie.

— Szkoda.

— Nie mogłam wiele rozmawiać ze względu na symulowanie migreny. Ale mam nadzieję, że panu łowy się udały.

— Owszem. Znalazłem bardzo ważne materiały.

— Niechże pan mówi!

— Nie mam ani chwili do stracenia, gdyż to, czego się dowiedziałem, wymaga natychmiastowego działania. Mogę pani powiedzieć tylko tyle, że mam w kieszeni odpis rozkazu Basaine'a nakazujący, aby w najbliższych dniach odmaszerowały trzy kompanie i zajęły fort Guadalupe.

— To nie wróży nic dobrego.

— Jakoś sobie z tym poradzimy. Jeszcze pani nie powiedziałem, że za kilka dni będę mógł rozporządzać pięciuset Apaczami, których przyprowadzi mój przyjaciel Niedźwiedzie Oko.

— Czy to ten młody wódz Apaczów, który wszędzie szuka śladów zaginionego brata, zwanego Niedźwiedzim Sercem?

— Tak, to on. Z jego pomocą zetrę w proch te trzy kompanie.

— W jakim celu Francuzi chcą zająć ten mały, nic nie znaczący fort? Jaki mogą mieć w tym interes?

— Nie trzeba być wybitnym strategiem, aby odpowiedzieć na to pytanie. Pociągnięcie to jest bez wątpienia skierowane przeciw Juarezowi. Francuzi chcą po zajęciu Guadalupe wyrzucić prezydenta z Paso del Norte. Ale moja już w tym głowa, aby fortu nie zdobyli. Znam przecież ich marszrutę. Widziałem dokładnie mapy i plany.

— Francuzi chyba nie zdają sobie sprawy, że Juarez ciągle jeszcze jest popularny i silny. Połowa Meksyku czeka na jego wezwanie, aby powstać.

— Stanie się to już wkrótce, może pani być spokojna. A teraz muszę już odejść.

— Do widzenia, Gerardzie! Kiedy pana znowu zobaczę?

— Przypuszczam, że niedługo. A więc dobrej nocy!

Opuścił dom Emilii tą samą drogą, którą przyszedł. Od żony ogrodnika odebrał broń. Był w dobrym nastroju. Nie przeczuwał, co go czeka. Tymczasem...

— Gdy Gerard przekradał się do miasta wśród widet, jeden z wartowników usłyszał cichy szmer. Zaczął nasłuchiwać.

— Wydawało mi się, że ktoś przechodził obok mnie — rzekł do siebie. — Ale to pewnie jakieś zwierzę.

Bezgłośnie przechadzał się tam i z powrotem. W pewnej chwili przystanął, by zapalić papierosa. Meksyk to kraj nałogowych palaczy. Francuzi są również wielkimi amatorami tytoniu. Spoglądano więc przez palce na żołnierzy palących na posterunku. Wartownik wyciągnął papierosa i zapałki. I wtedy ujrzał na ziemi głębokie ślady ludzkich stóp. Pochylił się z zapaloną zapałką w rękę.

— Ach, mruknął — ślady są jeszcze zupełnie świeże. Ten łotr przechodził tędy. Ale kto to mógł być?

Zapalił po kolei kilka zapałek. Mógł teraz określić kierunek, w którym poszedł podejrzany człowiek.

— Ta szelma przekradła się między nami do miasta. Widocznie ma jakieś wrogie zamiary. Muszę złożyć meldunek.

Natychmiast poinformował sąsiedni posterunek o tym, co zauważył. Wiadomość dotarła do oficera, a ten zakomunikował ją dowódcy, uważając, że sprawa jest poważna, ponieważ była to najdalej wysunięta placówka francuska. Dowódca, wziąwszy odpowiednią eskortę, udał się niezwłocznie na miejsce.

— Opowiadaj! — rozkazał żołnierzowi.

— Usłyszałem szmer...

— I nie zawołałeś? — przerwał dowódca.

— Myślałem, że to mysz — usprawiedliwiał się wartownik.

— Dalej!

— Potem przyszło mi do głowy, że trzeba jednak sprawdzić, co to było. Ziemia tu miękka, więc człowiek musiał zostawić ślady. Zapaliłem zapałkę i znalazłem je.

— Początkową niedbałość naprawiłeś, więc nie poniesiesz kary. Zapalcie latarnie!

Przy ich świetle zobaczyli ślady.

— Ten łotr jest jeszcze chyba w mieście — oświadczył dowódca. — Zakładam, że będzie próbował wrócić tą samą drogą. Zostańcie tu wszyscy! Gdy się zjawi, schwytajcie go. Połóżcie się na ziemi, Meksykianie to szczerwane lisy. Dam rozkaz, aby wszystkie widety zachowały jak największą ostrożność.

— Odszedł, pozostawiając piętnastu uzbrojonych żołnierzy na czele z sierżantem. Leżeli na ziemi i czekali. Minęło kilka godzin. Już przypuszczali, że ten, którego wypatrują, nie opuści wcale miasta albo że uciekł inną drogą, gdy raptem rozległ się cichy szelest, jak gdyby ktoś podeszwą buta rozdeptywał grudki ziemi.

— Idzie! Uwaga! — szepnął komendant.

Po chwili zobaczyli skradającą się postać. W ciągu sekundy powalono ją na ziemię; trzydzieści rąk trzymało ją jak w kleszczach.

— Do diabła! — rzekł po francusku pojmany. — Czego chcecie ode mnie?

— Ciebie chcemy mieć! — odparł komendant.

— No, no, zobaczymy, czy mnie dostaniecie! — natężył wszystkie siły, żeby się wyrwać, lecz daremnie. Nie chciał robić użytku z broni w obawie, by to nie pogorszyło sprawy. Dlatego zawołał:

— Ależ ludzie, puście mnie! Nie mam wcale zamiaru uciekać. I nie mam powodu ukrywać się przed wami.

— Oho! Zobaczymy! Zapalić latarnie — rozkazał sierżant. — Tak jak myślałem — powiedział po chwili. — Uzbrojony. Odbierzcie mu broń i zwińcie go!

Jeden z żołnierzy zdjął Gerardowi pas i związał mu na plecach obie ręce. Doświadczony myśliwy nieraz był w podobnych opałach. Gdy mu krępowano ręce, nie ścisnął ich więc mocno, przeciwnie, trzymał tak, że więzy nie zacisnęły się szczelnie. Żołnierze chcąc mieć pewność, że nie ucieknie, przepasali jeńca sznurami nie tylko przez piersi i ramiona, ale i pod ramionami. Zorientował się natychmiast, że uda mu się oswobodzić z więzów prawe ramię, a wtedy oczywiście uwolniłby i lewe. Jednak nic nie dał poznać po sobie.

— Kim jesteś?

— Vaquero.

— Nie wyglądasz na vaquera. Skąd pochodzisz?

— Z Aldamy.

Aldarna leży o kilka godzin drogi od Chihuahua.

— Czego więc szukałeś w mieście? — Chciałem odwiedzić narzeczoną.

— Dlaczego nie wybrałeś normalnej drogi?

— Czy nie chodziłeś nigdy po kryjomu do dziewczyny?

— Łotrze, nie mów mi „ty”, bo poczęstuję cię kolbą.

— Mówię do każdego tak, jak on do mnie.

— Ale ja jestem żołnierzem cesarza! Mówisz świetnie po francusku, w dodatku paryskim akcentem. Gdzie się nauczyłeś?

— Jestem paryżaninem.

— Paryżanin vaquerem w Aldamie? To podejrzane. Niech dowódca postanowi, co z tobą uczynić. Jazda, naprzód!

— Dobrze, chodźmy do dowódcy. Przecież ty nie potrafisz podjąć decyzji! — zaśmiał się Gerard.

— Człowieku, jestem pewien, żeś ty nie żaden vaquero! Zaprowadzimy cię na odwach, tam się sprawa wyjaśni. Naprzód!

Pomaszerowali. Było ciemno. Gdyby udało się Gerardowi oswobodzić jedno ramię, mógłby uciec. Ale musiałby pozostawić broń, a był do niej przywiązany. Stara dubeltówka towarzyszyła mu przez długie lata, żywiła go i ochraniała. Czy miał ją pozostawić? Nie, człowiek prerii ceni swoją strzelbę tak samo jak siebie. Dał się prowadzić, nie próbując nawet uciekać. Miał nadzieję, że znajdzie się jakieś wyjście.

Doszli do miasta. Kwatera garnizonu mieściła się w budynku, który w Europie nazwano by ratuszem. Na pierwszym piętrze mieszkał dowódca. Okna jego mieszkania były rzęsiście oświetlone. Odbynała się tam jeszcze tertulia, o której wspomniała Emilia.

Na parterze mieściła się wartownia. Siedziało w niej kilku podoficerów nad flaszką wódki. Towarzyszyła im markietanka.

— Z Juarezem sprawa skończona — mówił jeden z sierżantów.

— Wypalił ostania fajkę. Te czerwone łotry już nie ukoronują go na cesarza.

— Phi, czy komuś na nim zależy? — wszedł mu w słowa drugi. — Ta cała wojna była dziecinną zabawką. To zupełnie jakby ktoś polował na muchy. Nie wart też zachodu ten arcyksiążę.

— Arcyksiążę? Co ty pleciesz? Arcyksiążę to parawanik. Zmęczy się wkrótce tą szopką i abdykuje z ochotą, byle tylko pozwolono mu wrócić do domu. Wtedy prezydentem Meksyku zostanie Basaine i w jego już będzie interesie stworzyć taką sytuację, żeby zmusić Napoleona do wkroczenia i uznania Meksyku za prowincję francuską.

— A mocarstwa?

— Cóż one mogą poradzić? Co one potrafią zmienić? Przedtem oczywiście trzeba się rozprawić z partyzantami, przede wszystkim z tym Czarnym Gerardem!

— To prawda. Nasi ludzie boją się go bardziej niż dziesięciu innych szpiegów. Chciałbym zdobyć tę nagrodę, którą Basaine przyrzekł za jego głowę.

— Jaka to suma?

— Pięć tysięcy franków. Czarny Gerard pomógł Juarezowi bardziej niż cała armia. To człowiek groźniejszy od Pantery Południa. Hola, kogo nam tutaj prowadzą?

Eskorta popchnęła Gerarda do pokoju. Wzrok jego padł na jednego z podoficerów, potem na markietankę. Poznał swą byłą kochankę Mignon.

A więc upadła tak nisko! Nie tylko go zdradziła i oszukała, nie tylko obrabowała z pieniędzy i odeszła z wielkim panem, ale przywlokła się do Meksyku jako pocieszycielka żołnierzy!

— A więc go macie — powiedział kapral, dowódca warty. — Kto to?

— Pochodzi, jak powiada, z Aldamy i mieni się vaquerem. Mam jednak wrażenie, że to zupełnie ktoś inny.

Markietanka wstała, spojrzała na jeńca i zawołała:

— Vaquero! Nie dajcie się oszukać! To Gerard z Paryża!

— Gerard? Z Paryża?

— Tak, był garrouteurem.

— Garrouteurem? — zdziwił się sierżant, który przesłuchiwał pojmanego. — Do diabła, to ci historia! Że jest paryżaninem, do tego się przyznał. No i cóż, przyjacielu? Czy to prawda, co mówiła ta mademoiselle?

Ostatnie pytanie było skierowane do Gerarda.

— Czy słowa takiej dziewczyny mają dla was znaczenie? — zapytał.

— Jakiej dziewczyny?! — oburzyła się markietanka. — Wydrapię ci oczy!

Chciała się rzucić na Gerarda, ale sierżant ją powstrzymał.

— Czekaj! — zawołał. — Kto ciebie obraził, obraził i nas, odpokutuje więc za to. Przede wszystkim jednak muszę zameldować dowódcy.

Już miał wyjść z wartowni, gdy zjawił się porucznik.

— Co to za hałas? Co tu się dzieje? Żołnierze salutowali, sierżant meldował:

— Przyprawiliśmy człowieka, który przekradł się do miasta. Zatrzymano go w drodze powrotnej.

— Czy to ten sam, o którym miałem raport przed trzema godzinami? — spytał porucznik. Gdy potwierdzono, popatrzył badawczo na jeńca. — Za kogo się podaje?

— Za vaquera z Aldamy. Markietanka zaś powiada, że to paryżanin. Zachowuje się bardzo arogancko.

— Arogancko? To pogarsza jego położenie. Jak się nazywa?

— Gerard.

— Gerard? Ludzie, czy wiecie, kogoście schwytali? To zapewne Czarny Gerard, z którym mieliśmy tyle kłopotu!

— Czarny Gerard! — rozległo się wokoło.

Oficer kazał się uciszyć żołnierzom i zwrócił się do jeńca:

— Czy to prawda? Odpowiadaj!

W Gerardzie odezwało się uczucie dumy. Czy miał skłamać i zaprzeczyć? Nie. Ale przyznanie się pogorszy jego położenie. Najlepiej więc poczekać, co zrobi dowódca. Wzruszając ramionami, odparł:

— Przeszukajcie mnie, poruczniku!

— Mówi się „panie poruczniku”, zrozumiano? — huknął oficer. — To zresztą wszystko jedno, czy się przyznasz czy nie. Powiadają, że sławna strzelba Czarnego Gerarda ma złotą kolbę pokrytą ołowiem. Podobno zadaje nią śmiertelne uderzenia, gdyż jest bardzo ciężka. Czy odebraliście mu broń?

— Tak, oto ona.

— Weźcie nóż. Ołów jest miękki. Zobaczcie, czy jest pod nim złoto.

Gerard zrozumiał, że jest zdemaskowany, albowiem to, co opowiadano o strzelbie, było prawdą. Kolba służyła mu nie tylko jako broń, była czymś w rodzaju portmonetki. Gdy potrzebował nagle i niespodziewanie pieniędzy, wystarczyło naciąć kolbę.

Sierżant wyciągnął nóż i odkroił nieco ołowiu. Pokazało się pod nim szczerze złoto.

— To złoto, czyste złoto! — wykrzyknął.

— W takim razie to on! — ucieszył się porucznik.

— Pójdę sam do dowódcy, aby mu złożyć ten ważny meldunek. Odszedł. Podoficerowie i żołnierze zaczęli przyglądać się jeńcowi ze strachem. W wartowni panowała zupełna cisza. Nawet markietanka milczała. Wiadomość, że były jej kochanek został sławnym, budzącym postrach partyzantem, odebrała jej tupet.

Porucznik pospieszył do dowódcy. W salonie zebrało się dość liczne towarzystwo. Panie były wyłącznie Meksykankami, a panowie Meksykanami lub oficerami francuskimi. Wśród Meksykanów może niejeden stał sercem po stronie Juareza i nienawidził obcych najeźdźców. Musieli jednak głęboko ukrywać swe uczucia, by nie zdradzić się nawet słowem.

Wszyscy z ogromnym zaciekawieniem spojrzeli na porucznika, bo widać było, że przychodzi z ważnymi wieściami. Dowódca zawołał:

— Co za wiadomość pan przynosi, że jest aż tak podniecony, poruczniku?

— Mam zaszczyt posłuszenie zameldować panu pułkownikowi, że schwytaliśmy Czarnego Gerarda — wyrecytował stanąwszy na baczność.

— Czarnego Gerarda? Nie może być!

Nie tylko porucznik był poruszony. Jego oficerowie ucieszyli się bardzo, że wreszcie udało się pojmać niebezpiecznego wroga. To samo profrancuscy Meksykanie. Zwolenników Juareza z kolei ogarnął smutek i przygnębienie. Zdawali sobie sprawę, że schwytanie człowieka tak popularnego, jak Czarny Gerard przyniesie wielkie straty ojczyźnie i prezydentowi. I jedni, i drudzy uważnie słuchali sprawozdania porucznika. Mieli nadzieję ujrzeć jeńca, ale dowódca wydał rozkaz, by przyprowadzono go do jego prywatnego mieszkania. Wtedy jedna z pań, ciesząca się podobno względami pułkownika, rzekła prosząco:

— Tego nam pan chyba nie odmówi, monsieur. Wszyscy umieramy wprost z ciekawości, aby zobaczyć tego człowieka. Czy będzie pan tak nierycerski, że odrzuci prośbę zebranych tutaj pań?

Pułkownik rozważał przez chwilę, czy powinien pokazać jeńca całemu towarzystwu, a że był próżny, powiedział porucznikowi:

— Dobrze, niech go pan tutaj przyprowadzi! Proszę przynieść także jego broń. Musimy dokładnie obejrzeć tę słynną strzelbę.

Wkrótce sławny myśliwy wszedł pod eskortą uzbrojonych żołnierzy.

— Podejdź bliżej! — rozkazał pułkownik. Gerard nie ruszył się z miejsca.

— Powiedziałem przecież: bliżej! Tutaj! — wskazał miejsce, w którym jeńiec ma stanąć.

Gerard i tym razem nie posłuchał. Porucznik dał mu mocnego szturchańca w bok, a on odwrócił się błyskawicznie i kopnął oficera w brzuch z taką siłą, że ten upadł na podłogę, wypuszczając broń z ręki.

— Ja was nauczę, co znaczy potrać Czarne Gerarda! Incydent ten zrobił wielkie wrażenie. Francuzi, wśród nich również adorator Emilii, byli oburzeni zachowaniem jeńca. Meksykanie zaś zamarli, przerażeni, że sam wydał wyrok na siebie. Panie natomiast zachwyliła śmiałość człowieka, który mimo więzów odważył się na tak zuchwały czyn.

Porucznik byłby się rzucił na Gerarda, lecz pułkownik rozkazał mu zachować spokój.

— Ten człowiek zostanie wkrótce ukarany. Przyrzekam, że będzie wychłostany do krwi — powiedział, po czym zwrócił się do Gerarda: — Kazałem ci podejść bliżej, dlaczego mnie nie słuchasz?

— Zapytany spojrział mu prosto w oczy. Na jego twarzy nie było śladu trwogi.

— Nie jestem waszym sługą czy najemnikiem — odezwał się wreszcie — ale wolnym myśliwym i zasługuję na szacunek. Przyzwyczajony jestem do tytułowania mnie „senior”. Nie powiem ani słowa, zanim obyczajom tej ziemi nie stanie się zadość.

Komendant uśmiechnął się ironicznie.

— Mówię „ty” do ludzi, którzy kopią innych.

— To mnie nie przekonuje, monsieur. Należy przestrzegać obyczajów ziemi, na której się przebywa. Obecni tutaj — senioritas i seniores — mogą potwierdzić, że naród meksykański jest uprzejmy i rycerski, a dobry myśliwy inteligencją i doświadczeniem nie ustępuje oficerowi. Niedawno mi grożono, teraz uderzono. Uważałem za swój obowiązek pouczyć porucznika, by zachowywał się stosownie w obecności pań meksykańskich.

Panie spojrzały na śmiałka z podziwem. Oficerowie mruzcili gniewnie, lecz dowódca kazał im zamilknąć i ponownie zwrócił się do jeńca:

— Jeśli tak zdecydowanie się tego domagasz, będę ci mówił „senior”, tym bardziej, że nasze panie są ciekawe, co powiesz. Czy jest pan Czarnym Gerardem?

— Tak.

— Co senior robił w mieście?

— Złożyłem wizytę.

— Komu?

— To moja tajemnica.

— Jaki był cel tej wizyty?

— Przepędzenie wrogów.

— Ach, tak! Kogo uważa pan za wrogów?

— Francuzów.

— Muszę przyznać, że jest pan zadziwiająco szczery, nawet powiedziałbym: bezczelny. Nazywa pan Francuzów wrogami, a przecież sam pan jest Francuzem!

— Jestem Francuzem, lecz nie chcę być narzędziem w rękach cesarza. Kocham Meksyk i jego mieszkańców. Nadstawiam chętnie głowę, by kraj ten uwolnić od obecnego bezprawnego rządu.

Dowódca był zdumiony tą pogardą dla śmierci, rzekł więc:

— Nie przyczyni się pan do tak zwanego wyzwolenia, gdyż wyznanie seniora wystarczy zupełnie, abym kazał go rozstrzelać. Opuści pan tę salę po to, by pójść pod mur. Przedtem jednak wymierzę seniorowi chłostę za kopnięcie oficera. Czy ma senior ostatnie życzenie?

— Nie. Życzenia swoje sam spełniam. Człowiek prerii zachowuje do końca niezależność.

— Oszalał pan chyba. Skąd senior pochodzi?

— Z Paryża, tej siedziby wielu szaleńców.

— Proszę nie szydzić, gdyż wyrok może być jeszcze surowszy. Czy ma pan istotnie jakichś znajomych w tym mieście?

— Jeszcze ilu! Przeraziłby się senior, gdybym zaczął o nich mówić.

— Powiadają, że jest pan zaprzyjaźniony z Juarezem. Czy znane są panu jego plany?

— Owszem, znam je tak samo, jak wasze.

— Proszę nie opowiadać bajek! Co pan może wiedzieć o naszych planach?

— Znam je dokładnie, już niebawem przekona się pan o tym.

— Mam dosyć tych bezczelnych bredni! Czy to pańska broń?

— Tak.

— Niech ją pan pokaże, poruczniku!

Porucznik położył na stole strzelbę, rewolwer i nóż. Pułkownik chwycił strzelbę i zaczął oglądać kolbę.

— Rzeczywiście jest ze złota. Gdzie je pan znalazł?

— Odkryłem w górach żyłę.

— Ach, tak! Czy nie chciałby senior jej odsprzedać?

— Po co? Przecież mam zostać rozstrzelany.

— No tak. Ale krewnym seniora przypadłoby coś niecoś w udziale.

— Za żadne pieniądze nie zdradzę, gdzie ta żyła się znajduje. Każdy prawy Meksykanin postąpiłby tak samo.

— Czy zabił pan z tej strzelby wielu Francuzów?

— Tylko zwierzynę liczę na sztuki.

— Do diabła! — mruknął pułkownik. — Zastanów się senior, do kogo mówisz.

— Do człowieka, którego się nie boję.

— Widzę, że szuka pan śmierci. Doczeka się jej senior, ale nie takiej, o jakiej myśli i nie tak prędko, jak powiedziałem. Przypuszczam, że mógłbym dowiedzieć się od pana wielu ciekawych rzeczy. Ponieważ jednak senior nie chce mówić dobrowolnie, poddam pana torturom.

— O co panu chodzi?

— Przede wszystkim o to, jakich senior ma tutaj znajomych.

— Tego się pan nie dowie.

— Przyszłość pokaże — pułkownik uśmiechnął się ironicznie. — Ponadto może senior będzie łaskaw poinformować mnie o planach pańskiego przyjaciela Juareza?

— Dowie się pan o nich, gdy zostaną zrealizowane.

Meksykanie z zapartym tchem przysłuchiwali się słowom Gerarda. Francuzi zgrzytali zębami z wściekłości. Wstydzi się za pułkownika, bo uważali, że jeniec naigrywa się z niego, a on jest potulny jak baranek. Po ostatnich słowach Gerarda dowódca wpadł w furię.

— Wyczerpała się moja cierpliwość! — krzyknął. — Rozmawiałem z panem grzecznie w obecności moich gości, ale mam tego dosyć! Jeszcze nauczę cię rozumu! Teraz otrzymasz pięćdziesiąt kijów, później zastanowię się, co dalej!

W oczach Gerarda błysnął gniew.

— Dowiodłem przed chwilą, że nie zniosę żadnego bicia, bo to obraża mój honor.

— Co mnie obchodzi pański honor? Wyprowadzić go!

— I mnie nic nie obchodzi pana honor! — zawołał Gerard. — Pokażę zaraz seniorowi, kto z nas oberwie więcej i czyj honor ucierpi!

Błyskawicznie uwolnił się z krępujących go więzów, zerwał pułkownikowi epolety i zdzielił go pięścią z taką siłą, że tamten runął jak kłoda. W oka mgnieniu oba rewolwery wsunął do kieszeni, nóż chwycił w zęby, a strzelbę w obie ręce.

— Oto, jak smakuje moje złoto!

Z tymi słowy rzucił się na żołnierzy i roztrącił ich waląc na odlew kolbą. Jednym susem dopadł otwartego okna i zniknął w nim, rzuciwszy szydercze pożegnanie:

— Dobrej nocy, senioritas!

Żołnierze wili się z bólu, całe towarzystwo stało osłupiałe. Po chwili dopiero zaczęli się rwetes nie do opisania.

— Naprzód! Na dół! Za nim! Prędko!

Oficerowie i żołnierze rzucili się ku drzwiom, żaden nie miał odwagi skoczyć przez okno. Meksykanie pozostali na sali. Kilka osób podeszło do komendanta.

— Nie żyje — ktoś powiedział.

— Ogłuszony tylko — sprostował inny. — Połóżmy go na kanapie. Kilka pań zemdlało. Część szeptała między sobą, nie szczędząc Gerardowi wyrazów podziwu, część zaś pospieszyła ku oknu, by zobaczyć, czy udało mu się uciec.

Ale nie było już śladu po nim. Skoczył szczęśliwie, porwał pierwszego z brzegu konia, który stał pod domem i ruszył na nim cwałem. Zanim pościg zdążył dojść do schodów, dotarł do następnej ulicy. Teraz miał tylko jedno zadanie, ale najważniejsze: wydostać się z miasta i uciec przed pościgiem. Koń był dobry, więc czuł, że mu się poszczęści.

Chihuahua drzemała pogrążona w ciemnościach, ale brak światła nie był dla Gerarda przeszkodą. Pędził w zawrotnym tempie przez ulice. U wylotu miasta stał wartownik. Zanim otworzył usta, by wypowiedzieć stereotypową formułę, jeździec był już przy nim. Żołnierz wystrzelił na alarm. Po chwili rozległy się dookoła groźne wołania:

— Stać! Kto idzie?

Gerard nie odpowiadał. Padło kilka strzałów, jeden pocisk zranił konia. Mimo to pędził dalej, ale potykał się coraz częściej. W pewnym momencie Gerard zatrzymał go w pełnym galopie, zeskoczył i biegł ile sił w nogach pod ostrzałem kul. Zmierzał prosto do lasu, w którym ukrył swego konia. Oby tylko był na miejscu. Na szczęście zastał go tam, gdzie zostawił. Gdy go dosiadł, poczuł się bezpieczny. Przerzucił strzelbę przez ramię, wyciągnął rewolwery z kieszeni i ukrył za pasem.

— To była doskonała zabawa! — zawołał ze śmiechem. — Będą długo pamiętać Czarnego Gerarda! A teraz niech mnie złapią!

Zawrócił konia na północ i ruszył z początku klusem, później galopem. Droga prowadziła przez prerię, między rzeką Conchos a wznoszącymi się w pobliżu wzgórzami. Całą noc nie zwalniał szybkości. Do rana przebył wiele mil. Po południu ujrzał tabun koni. Odwiązał lasso, zarzucił je i po dziesięciu minutach na rączym koniu ruszył w kierunku Paso del Norte.

KOLBA

Pewnego niedzielnego popołudnia stary Pirnero siedział przy oknie i patrzył na ulicę. Padał gęsty, ulewny deszcz, a to go niedobrze usposabiało. Aby dać ujście swoim humorom, posłał córkę po piwo własnego wyrobu.

Rezedilla wróciła z piwnicy, postawiła dzban na stole i usiadła jak zwykle z robótką w ręku. Stary łyknął haust piwa i mruknął:

— Wstrętny deszcz.

Córka, jak zwykle, nie odpowiedziała. Narzekał więc dalej:

— Można się utopić, co?

Ponieważ i teraz nie zareagowała, odwrócił głowę i spytał gniewnie:

— Powiedziałaś co? Czy nie mam racji?

— Ależ masz rację — odparła lakonicznie.

— Gdybym teraz na przykład utonął, z pewnością niewiele robiłabyś sobie z tego, co?

— Ależ ojcze!

— Czy to niemożliwe? A więc przypuśćmy, że utonąłem. Co byś zrobiła? Prowadziłabyś dalej gospodarstwo. Bez mężczyzny? Przecież to szaleństwo!

Rezedillę rozśmieszył ten bieg myśli starca.

— Chyba nie pójdziesz się utopić tylko dlatego, by mi pokazać że powinnam wyjść za mąż?

— Dlaczego nie? Jestem gotów tak postąpić. Dobry ojciec nie może cofać się przed niczym, byle swemu dziecku dać nauczkę. Ale któż to jedzie?

Rozległ się tętent konia. Jakiś jeździec gnał wśród ulewy. Po chwili zatrzymał się przy drzwiach.

— Ach! — zawołał stary. — To ten leń zatracony, ten szpieg w łachmanach! Dziś nie wyjdę z jego powodu, choćby miał się dowiedzieć, że jestem dyplomata.

Przybyszem był istotnie Gerard. Zobaczywszy go, Rezedilla zaczerwieniła się. Pirnero ledwo mu kiwnął głową, za to dziewczyna pozdrowiła go bardzo uprzejmie. Poprosił o szklankę julepu. Przez dłuższy czas w izbie panowała cisza. Stary bębnił niecierpliwie po szybie. Wreszcie, nie mogąc już dłużej wytrzymać, odezwał się:

— Okropny deszcz!

— Tak — przytaknął Gerard zamyślony.

— Można się utopić!

— No, tak źle nie jest.

— Co nie jest tak źle? Jest pan innego zdania niż ja? Powiedział to kłótliwym tonem, widać zapomniał o przyjętej roli dyplomaty. Ujrawszy zaś, jak z przemoczonego ubrania gościa woda spływa na podłogę, zaczął zrzędzić jeszcze bardziej:

— Powiada senior, że nie można się utopić? Jeżeli przyjdzie dwóch takich gości jak pan, mamy powódź w gospodzie.

Gerard dopiero teraz zauważył kałużę.

— Wybaczcie, państwo. Nie mogłem przecież zostać na dworze.

— Któż tego żąda? Ale mógł pan przyjść w suchym ubraniu. Czy nie ma senior żony, która by o to dbała?

— Nie.

— To właśnie przyczyna zła! Dlatego niszczy pan podłogę. Człowiek musi żyć w małżeństwie. Czy nie mam racji?

— Ależ owszem.

— Mówi pan „owszem”? W takim razie jest pan mądrym człowiekiem, mimo że nie takim dobrym myśliwym jak Czarny Gerard. Chciałbym go kiedyś zobaczyć.

Przybysz uśmiechnął się i powiedział:

— Szkoda, że nie był pan przed kilkoma dniami w Chihuahua...

— Niech pan nie gada głupstw! Przecież miasto jest w rękach Francuzów!

— Właśnie z tego powodu zjawił się w mieście. Tak mi opowiadano.

— Co tam robił, hę?

— Szpiegował ich.

— Szpiegował? Nonsens! Prędzej uwierzę, że Francuzi będą nas szpiegowali.

Przy tych słowach obrzucił gościa ponurym spojrzeniem. Gerard, nie zwracając na to uwagi, mówił dalej:

— A jednak był w mieście, nawet wzięli go do niewoli.

— Do licha! Naprawdę?

— Tak — Gerard znów się uśmiechnął.

Ucieszyło go, że stary tak sympatyzuje z Czarnym Gerardem. Pirnero zauważył uśmiech i zapytał zgryźliwym tonem:

— Cieszy się pan z tego powodu? Zapomniałem, że senior jest Francuzem.

— Jestem Francuzem, ale przeciwnym temu, by cesarz posyłał wojska do Meksyku.

— Co? Jak? — stary zapomniał o ostrożności, zerwał się z krzesła i zawołał: — I sądzi pan, że w to uwierzę? Jest pan szpiegiem francuskim, który chce nas rozszyfrować! I

tylko pan udaje, że się panu cesarz nie podoba! Ale nie jestem takim głupcem! Sam się pan zdradził.

Rezedilla zbladła. Gerard zaś zapytał spokojnie:

— Czym się zdradziłem?

— Dał senior wyraz swej radości, że Czarny Gerard został schwytyany przez Francuzów.

— Przecież on sam się cieszył! Uciekł z niewoli po kilku godzinach.

— Nie do wiary! Niech pan opowie, jak to było!

— Chętnie, senior Pirnero.

Gerard wszystko opowiedział szczegółowo, nie zdradzając jednak, że sam jest bohaterem tej historii. Ze zrozumiałych względów pomiął również wizytę u Emilii.

— Ale im dał bobu! — cieszył się gospodarz. — Nie uda się im schwytać Czarnego Gerarda. To diabeł w ludzkim ciele! Więc pan jest po jego stronie?

— Oczywiście. Pochodzę wprawdzie z Francji, ale kocham Meksyk i pozostanę tutaj na zawsze. Nienawidzę Napoleona III, przez którego cały ten kraj broczy krwią. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby się przyczynić do wyparcia Francuzów.

— Pan?! Czcze gadanie! Przecież nie może pan nic uczynić. Gdyby był senior Czarnym Gerardem... Zawdzięczam mu wiele, oczyścił nasze drogi z wszelkiego rodzaju hołoty. Nie wie pan, czy jest żonaty?

— O ile mi wiadomo, jest kawalerem.

— Hm, to mi się podoba... Ale taki człowiek potrzebuje posażnej żony. Związek z piękną a bogatą panną zapewni mu dom, który będzie jego ostoją. Nie wie senior przypadkiem, w jakiej okolicy najchętniej poluje?

— Wszędzie, gdzie jest tylko zwierzyna. Dowiedziałem się, że już wkrótce przybędzie tu, nad rzekę.

— Nad rzekę? Do diabła! W takim razie może nawet przyjedzie do Guadalupe? To mnie cieszy niesłychanie. Czy pija chętnie julep?

— Najwyżej szklaneczkę.

— Nieważne ile. Kto chce się napić julepu w Guadalupe, ten musi zająć do mnie, mam więc nadzieję, że go zobaczę.

— Jestem przekonany, że tu przyjdzie.

— Naprawdę? Słyszysz, Rezedillo?

Nie odpowiedziała. Żenowały ją te wynurzenia ojca na tematy małżeńskie.

— Nie słyszysz? — rozgniewał się stary.

— Słyszę, słyszę.

— To dobrze. Poznam go po strzelbie. Kolbę ma złotą. Czarny Gerard kraje ją, gdy ma coś do zapłacenia. To musi być dopiero strzelba! Z pewnością niepodobna do tego starego rupiecica, który postawił pan pod ścianą. Niech mi jeszcze senior powie, gdzie pan właściwie mieszka?

— Wszędzie i nigdzie.

— Nie ma więc senior stałego miejsca zamieszkania? Ale ma pan chyba jakiś dom, jakąś chałupę, choćby na zimę? — dziwił się Pirnero.

— Buduję ją tam, gdzie mnie zaskoczy śnieżyca. Zimą się poluje, wiosną garbuje skóry i niesie do miasta na sprzedaż.

— Wiem o tym dobrze, ale dziękuję za takie życie. Powinien się pan ożenić, założyć ognisko domowe. Znajdzie pan z pewnością jakąś Indiankę lub inną skromną, pracowitą dziewczynę, która zechce wyjść za pana, skoro się dowie, że senior nie uznaje

Napoleona, mimo że jest Francuzem. O bogatej żonie nie może pan marzyć, oczywiście, bo nie ma senior nawet porządnej kurtki. Gdzie pan zamierza dzisiaj nocować?

— Tutaj.

Stary skrzywił się i spojrzał na gościa podejrzliwie.

— U mnie? Hm, hm. A czy ma pan pieniądze? Pije senior zwykle tylko jedną szklankę julepu, co nie świadczy o zamożności.

— Ojczy! — odezwała się błagalnym tonem Rezedilla.

— Czego chcesz? — mknął stary. — Ty masz litościwe serce, ale ja muszę dbać o nasze interesy. Ten senior będzie mógł tutaj przenocować tylko wtedy, gdy zapłaci z góry.

— Ile mam zapłacić? — zapytał Gerard rozbawiony.

— Cuartillo.

— Tylko tyle?

— Przecież będzie senior spać na słomie.

— Dlaczego? Mogę zapłacić za łóżko.

— Niepodobna! Niech pan tylko popatrzy na siebie! Rezedilla zaczerwieniła się po same uszy, ale nie powiedziała ani słowa.

— Dobrze — rzekł Gerard. — Oto cuartillo za nocleg i talco za julep. Jest pan zadowolony, senior Pirnero?

— Owszem.

— No, a teraz chciałbym się położyć.

— W biały dzień? Oszalał pan?

— Jestem zmęczony. Chyba senior rozumie, że to się może zdarzyć myśliwemu?

— Oczywiście, o ile jest dobrym strzelcem! Co pan dziś upolował?

— Jeszcze nic.

— To ci dopiero! Nie chcę pana jednak zatrzymywać, śpij pan, jak długo chcesz.

Rezedillo, zaprowadź seniora do vaquerów.

Do vaquerów! A więc ma spać w przybudówce? Trudno. Ale o ile lepiej byłoby po miesiącu tułaczki odpocząć w wygodnym łóżku. Rezedilla podeszła do drzwi i czekała na niego.

— Dobranoc, senior Pirnero! — powiedział Gerard, biorąc do ręki strzelbę.

— Dobranoc, senior! — odpowiedział stary, po czym usiadł przy oknie, aby snuć dalej swoje wywody o pogodzie.

— Niech pan wybaczy memu ojcu. To w gruncie rzeczy bardzo dobry człowiek — rzekła Rezedilla, gdy wyszli z pokoju.

— Nie mam mu nic do wybaczenia, seniorka. Może robić ze swoimi gośćmi, co mu się podoba. I na słomie będę dobrze spać, przebyłem bowiem konno w ciągu trzech dni trzysta leguas — (i legua = 5572 m).

— Trzysta leguas! To niewiarygodne!

— Potrzebowałem na to ośmiu koni, nie odpoczywałem ani przez chwilę.

— To cud, że się pan trzyma na nogach. Chodźmy.

— Proszę zostać tutaj, seniorita. Deszcz leje, zmoknie pani. Sam znajdę vaquerów.

— Więc sądzi pan, że naprawdę pozwolę seniorowi spać na słomie w tym przemoczonym ubraniu? Nie, nigdy! Niech pan idzie za mną.

Poszła po schodach na górę. Otworzyła drzwi i wprowadziła Gerarda do pokoju urządzonego niemal wytworknie.

— Ależ to nie jest sypialnia dla przyjezdnych!

— Właściwie ma pan rację. Zwykle mieszkają tu krewni, gdy zjeżdżają do nas w odwiedziny. Jak na przykład moja kuzynka Emma Arbellez z hacjendy del Erina. Nie wiem, co się z nią teraz dzieje, zaginęła bez wieści. Niech senior tymczasem usiądzie. Zje pan coś?

— Nie, dziękuję, jestem ogromnie wyczerpany.

Rezedilla wyszła na chwilę. Gerard usiadł w swym zniszczonym, wilgotnym ubraniu na jednym z foteli. Nie minęło kilka minut, a zmęczenie tak go zmogło, że usnął. Gdy dziewczyna wróciła, nie obudził się. Postawiła na stole świecznik, i ze współczuciem zaczęła się przyglądać mężczyźnie.

— Biedak! — wyszeptwała. — Jaki musiał być zmęczony, jeżeli zasnął tak prędko. Ale za to mam okazję, by się przekonać, czy moje przypuszczenia są słuszne.

Chciała podnieść strzelbę, lecz zabrakło jej sił — była niezwykle ciężka. Zaczęła dokładnie przyglądać się kolbie. Po chwili wzrok jej padł na miejsce, które sierżant wykroił scyzorykiem.

— Złoto, prawdziwe złoto! — wyszeptwała. — A więc to on! Przeczucia mnie nie myliły. Jakże się cieszę! Ponieważ jednak nie chce o tym mówić i ja będę milczeć, udając, że o niczym nie wiem.

Odstawiła strzelbę, a potem lekko dotknęła śpiącego.

— Rezedilla... — wyszeptał przez sen.

Oblała się rumieńcem. Po chwili dotknęła go nieco mocniej. Obudził się ze słowami:

— Wybacz, seniorita, że zasnąłem.

— Niech mnie pan nie prosi o przebaczenie. Życzę dobrej nocy i wypoczynku. Dobranoc, senior Gerard!

— Dobranoc, seniorita!

Troskliwość Rezedilli była dla niego jak balsam. Choć zmęczony ogromnie, leżał jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczami nie mogąc zasnąć. Wreszcie usnął.

Dziewczyna zeszła do ojca obserwującego jak zwykle pogodę. Myślała o tym, który spał na górze, i o odkryciu, które przed chwilą zrobiła. Z zadumy wyrwały ją słowa ojca.

— Przekłęta pogoda!

Nie odpowiedziała, ciągnął więc dalej.

— Słyszalaś, co powiedziałem?

— Tak — odparła.

— Czy nie mam racji?

— Owszem, drogi ojcze.

— No więc! Na dworze podle i tu w pokoju nie lepiej.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Jeszcze pytasz? Świat się kończy! Co widać przez okno, he? A w pokoju? Ciebie i tylko ciebie, oczywiście oprócz krzesel, ławek, szklanek i flaszek.

— A co chciałbyś zobaczyć?

Było to bardzo nieopatrne pytanie. Stary czekał tylko, jak by tu przejść do ulubionego tematu. Rąbnął więc prosto z mostu:

— Co chciałbym zobaczyć? Do stu diabłów, naturalnie, że zięcia! Zięcia mi brak, zięcia! Nie rozumiesz tego?

— Czy naprawdę jest ci tak potrzebny? — zapytała z uśmiechem.

— A tobie?

— Mnie? — rzekła, śmiejąc się głośno. — Przecież musiałabym mieć przedtem córkę.

— Głupia jesteś? Kpisz sobie ze mnie, co? Nie doprowadzaj mnie do szewskiej pasji! Siedzę tu, patrzę na podłgę podłogę albo na stare ławki i stoły i co mam z tego? Nic, literalnie nic. Gdybym natomiast miał zięcia, mógłbym rozmawiać z nim, moglibyśmy opowiadać sobie anegdotki albo też, gdybym był w złym humorze, mógłbym się z nim kłócić.

— O ile by się na to zgodził!

— Dlaczego nie? Po co się ma zięcia, jeżeli nie po to, aby łątał dziury w dachu i był pod ręką na wypadek złego humoru? Jeżeli w przyszłości nie postarasz się sama o męża, ja się tym zajmę. Będziesz musiała wyjść za mąż i kwita! Wiesz, kto nim będzie? No zgadnij!

— Nie zgadnę. Powiedz sam!

— Któż inny, jeżeli nie Czarny Gerard.

— Czarny Gerard? — powtórzyła wolno, drżącym z lekka głosem.

— Tak, on. To dzielny chłop! Takiego zięcia chciałbym mieć!

— A jeżeli ci się nie spodoba?

— On będzie mi się na pewno podobał! Pomyśl tylko o jego złotej strzelbie.

— To drobiazg. Co byś powiedział, gdyby wyglądał jak, jak...

— No, jak?

— Jak ten myśliwy, którego przed chwilą zaprowadziłam na spoczynek.

— Dziewczyno, porzuć głupie żarty! Czarny Gerard wygląda inaczej. A o tamtym nie wspominaj mi nawet słowem! Czy upolował coś kiedykolwiek? Czy potrafi wypić? Teraz leży na słomie i śpi w biały dzień. O, nie! Czarny Gerard wygląda z pewnością inaczej. Wyobrażam sobie... Ale znowu ktoś jedzie.

Przed drzwiami zatrzymał się jakiś jeździec. Stary przyjrzał mu się, zanim ten zsiadł z konia. Podniósłszy brwi, rzekł do córki:

— Czy wiesz, co to jest psychologia?

— Tak, nauka o psychice.

— Doskonale! Otóż jestem psychologiem. Popatrz na tego konia. Co o nim możesz powiedzieć?

— Niezwykle chudy.

— A jeździec?

— Jeszcze chudszy i bardzo niski.

— A jego ubiór?

— Cały w łachmanach.

— A broń?

— Stara i nie czyszczona.

— To wystarczy psychologowi. Ten człowiek ma chudego konia. To dowód, że jest skąpy. Postrzępiony zaś ubiór i zły stan broni wskazują, że to nicpoń. Wypije prawdopodobnie jedną szklanę julepu tak samo jak tamten śpioch. Na takich gościach mi nie zależy.

— Prowadzi konia do stajni, zapewne więc zechce tutaj pozostać.

— Będzie to zależało od tego, czy zapłaci. Nie jestem w ciemni bity. To się zaraz okaże.

Po kilku minutach nieznajomy wszedł. Wyglądał tak niepokaźnie, że w człowieku, nie znającym sawanny, mógłby wzbudzić podejrzenia. Bąknął kilka słów powitania, usiadł i odłożywszy strzelbę i nóż, zapytał:

— To fort Guadalupe?

— Tak — odparł gospodarz.

— Pan jest zapewne seniorem Pirnerem?

— Tak.

— Czy mogę dostać julep?

— Owszem.

— Więc proszę.

— Dobrze, ale tylko jedną szklanę.

— Dlaczego tylko jedną?

— To już moja sprawa.

Pirnero spojrział wymownie na przydzwiek gościa i powoli podniósł się, by przynieść napitek. Nieznajomy pochwycił to spojrzenie. Tłumiąc śmiech, wzruszył ramionami i w milczeniu wychylił szklanę.

Pirnero usiadł znowu przy oknie. Gość i Rezedilla milczeli. Stary zaczął się wiercić na krześle. Po chwili rzekł:

— Podła pogoda!

Ponieważ nikt nie odpowiadał, zwrócił się wprost do gościa:

— No?

— Co takiego?

— Podła pogoda!

— Ależ przeciwnie, ładna! — zaprzeczył z uśmiechem.

— Jak pan to rozumie? — obruszył się Pirnero. Coś mu świtało, że gość kpi z niego.

— Tak, jak powiedziałem: ładna pogoda.

— Chce mnie pan zdenerwować?

— Ani mi się śni.

— No to niech się pan dowie, że nie podoba mi się pan.

— A dlaczego to?

— Z najrozmaitszych przyczyn. Przede wszystkim dosiada senior okropnej chabety.

— I co dalej?

— Pański przyodziewek jest pod psem.

— Coraz lepiej. Dalej?

— Pańska broń nie warta funta kłaków.

— Skąd ta pewność?

— Widać od razu, nie trzeba być psychologiem czy wybitnym dyplomata. Przybysz przytaknął ze zrozumieniem i dodał:

— Poznają teraz, że jestem u seniora Pirnera.

— Jak to?

— No, bo prawdę opowiadano mi o panu.

— Jaką prawdę? Do diabła, co o mnie opowiadano?!

— Że jest pan poczciwym człowiekiem.

— No, co to, to prawda! I co jeszcze?

— Że ciągle siedzi pan przy oknie.

— I to prawda.

— Że lubi pan obserwować pogodę.

— Słusznie. Co jeszcze?

— Że zaczyna pan każdą rozmowę od pogody.

— Naprawdę? Tego nie zauważyłem. Dalej!

— Że mówi pan chętnie o małżeństwie i o zięciu. Gospodarz spojrział badawczo na nieznajomego. Nie wiedział, czy ma się gniewać czy nie.

— Kto to mówił?

— Koledzy. Ale poproszę o jeszcze jedną szklaneczkę julepu, senior.

Opróżnił duszkiem szklanekę i postawił przed gospodarzem. Pirnero zlustrował go wzrokiem.

— Nie dam więcej. Niech pan najpierw zapłaci.

— Ach, więc uważa mnie pan za włóczęgę, który nie ma czym zapłacić — roześmiał się gość. — Zaraz przekona się senior, że jest w błędzie.

Wyciągnął z kieszeni skórzany woreczek i otworzył.

— Oto zapłata!

Wyjął nugget wielkości orzecha laskowego i podał gospodarzowi. Pirnero wziął złoto, nie kryjąc zadowolenia, obejrzał ze wszystkich stron, odważył ręką i powiedział:

— To złoto, szczerze złoto! Do licha, czy ma pan tego więcej?

— Kilka pełnych worków.

— Skąd?

— Odkryłem żyłę złota.

— Gdzie?

— O, to już moja sprawa, senior Pirnero!

— Ten nugget, który otrzymałem, jest wart, mówiąc między nami, najwyżej dwadzieścia dolarów.

— Trzydzieści.

— Czy mam go zważyć i kupić od pana?

— Oczywiście.

Gospodarz wstał i po chwili przyniósł wagę. Po targach zgodzili się wreszcie na dwadzieścia pięć dolarów. Pirnero wypłacił je natychmiast.

— A więc jeszcze jeden julep? — zapytał usłużnie. — Już niosę. Nugget spowodował, że Pirnero całkowicie zmienił swój stosunek do nieznanego. Obsługiwał go uprzejmie i gorliwie. Po chwili usiadł znowu przy oknie. Ubolewał bardzo nad poprzednim swoim zachowaniem i zaczął głowić się nad tym, w jaki sposób naprawić błąd. Nie przychodził mu jednak żaden pomysł. Rozpoczął więc stereotypowym powiedzeniem:

— Podła pogoda!

Gość coś mruknął pod nosem. Nie zrażony tym gospodarz mówił dalej:

— Ma jednak i dobrą stronę.

— Słusznie. Zwłaszcza dla mnie, bo przybywam aż z Liano Estacado.

Pirnero zerwał się na równe nogi i popatrzył na małego człowieczka z podziwem.

— Naprawdę?

— Tak. Kiedy przychodzi całymi dniami prażyć się w tej piekielnej spiekocie, deszcz przynosi prawdziwe ukojenie.

— Tak, bez wątplenia — potwierdził skwapliwie. — Niech mi pan powie, senior, czy przybywa sarn?

— Sam.

— No, to jest pan niezwykłym śmiałkiem.

— Jakoś nie zabrakło mi odwagi.

— Myślałem jednak... — popatrzył badawczo na gościa.

— O czym pan myślał, senior Pirnero?

— Czy wie pan, co to jest polityka i dyplomacja? — spytał po dłuższym namyśle.

— Owszem.

— W takim razie wie pan również, że człowiek mający zdolności polityczne i dyplomatyczne nie zawsze może wszystko powiedzieć.

— Racja! Czyżby pan miał te zdolności?

— Tak przypuszczam! Wie senior, skąd pochodzę? Z Pirny.

— Z Pirny? — gość był wyraźnie zaskoczony. — Z Pirny pod Dreznem?

— Zna pan moje strony ojczyste?

— Do stu piorunów, oczywiście! Ja również pochodzę z Niemiec.

— Z Niemiec? — zawołał Pirnero. — Z jakiej prowincji?

— Z Bawarii.

— Święty Pafnucy! Naprawdę?

— Ależ tak. Pracowałem w Dreźnie, w browarze. Później wziął mnie na służbę pewien Amerykanin, który chciał produkować w St. Louis niemieckie piwo. Interes skończył się generalną klapą. Ruszyłem więc do Stanów Zachodnich i tu zostałem, sam nie wiem jak, poszukiwaczem złota i myśliwym.

— Ho, ho, to mi się podoba. Prawdziwa to przyjemność móc mówić z rodakiem o rodzinnym mieście. Niech sobie deszcz leje jak z cebra! Rezedilla, przynieś wina, dziś wielkie święto dla mnie! Jest pan moim gościem. Nie chcę pańskich pieniędzy. Czy żyją pańscy rodzice lub jacyś krewni? Jak się pan nazywa?

— Andreas Straubenberger. Mam jeszcze brata.

— Czy pański brat również przebywa w Ameryce?

— Nie, już od dawna nie mam z nim kontaktu. Zapewne nie wie, gdzie jestem, nie zawiadomiłem go bowiem listownie, gdyż czuję wstręt do pióra. Chciałem wzbogacić się jako poszukiwacz złota i sprawić mu później niespodziankę. Mieszka niedaleko Moguncji.

— Czy również pracował w browarze?

— Nie. Jest pomocnikiem leśniczego, niejakiego kapitana von Rodensteina w Reinswalden.

— Niech tam sobie pomaga leśniczemu! Przede wszystkim musi mi pan szczerze odpowiedzieć na jedno pytanie. Mimo podłego przydzwiewku wygląda senior dość młodo. Ile pan ma lat?

— Trzydzieści sześć.

— Hm. Czy ma pan żonę?

— Aha! Wylazło szydło z worka! Nie. Dotychczas, chwała Bogu, nie postarałem się o żonę.

— Do licha! A mieszkanie pan ma?

— Nie.

— Zna się pan na pędzeniu wódki i piwa?

— Przecież pracowałem w browarach.

— Warzyć piwo pan umie?

— Naturalnie.

— Do stu piorunów! Jeżeli zna się pan na tym wszystkim, to po co biegać tak samotnie po świecie? Ma senior dosyć pieniędzy, aby gdzieś osiąść. Z pewnością niejeden teść przyjąłby pana z otwartymi ramionami.

— Dziękuję. Mam inne obowiązki.

— Co to za obowiązki? Straubenberger uśmiechnął się i zniżył głos:

— Czy wie senior, kto to jest dyplomata, polityk? Jeśli tak, to wie pan również, że człowiek z talentem dyplomatycznym nie zawsze może wszystko powiedzieć. Mogę tylko zdradzić seniorowi, że przyjechałem tutaj, by kogoś odszukać.

— Odszukać? Kogo?

— Czy zna pan Czarne Gerarda?

— Osobiście nie, ale słyszałem, że wkrótce przybędzie do Guadalupe.

— To doskonale! Byłem pewien, że go zastanę u seniora.

— Zna go pan?

— Nie

— Powiem jeszcze panu, że w tych dniach znowu dokazał przedniej sztuczki. Był w Chihuahua...

— Ależ tam są teraz Francuzi!

— I wzięli go nawet do niewoli. Straubenberger zawołał z przerażeniem:

— A więc nie spotkam go tutaj! W takim razie muszę natychmiast wracać!

— Dokąd?

— Na północ. Aby zameldować, że Francuzi wzięli do niewoli Czarne Gerarda.

— Komu chce pan zameldować?

— To moja sprawa.

— Do licha! Jest pan naprawdę dobrym dyplomata! Ale wracać nie ma potrzeby. Czarny Gerard jest wolny. Uciekł Francuzom.

— Naprawdę? — przybysz odetchnął z ulgą. — Jest pan tego pewien?

— Powiedział mi to myśliwy, który śpi teraz na słomie.

— Co to za człowiek?

— Nie wiem. W każdym razie ktoś bardzo przeciętny. Nie ma pieniędzy, ubrany nędznie, a za strzelbę jego nie dałbym nawet dwudziestu pięciu centów.

— Taka strzelba bywa czasami lepsza od najdroższej. A co się tyczy ubioru i wyglądu zewnętrznego, to mógł się senior przekonać, jak niebezpiecznie jest oceniać westmana po zewnętrznych oznakach. Słońce dawno spaliło ubranie i buty, łachmany spadają mi z grzbietu, koń, jak to pan sam powiedział, wygląda jak chabeta, a strzelba podobna jest do starego obucha, jakiego używa stróż nocny. Pomimo to mam przy sobie sześć worków nuggetów, nie mówiąc o pieniądzach, które leżą w Nowym Jorku. Sprzedałem złoto wydobyte w kopalniach. Sumę uzyskaną za nie przekazałem do Nowego Jorku, gdzie w każdej chwili jest do mojej dyspozycji. Czy mogę pomówić z myśliwym, o którym pan wspominał?

— Śpi teraz. Niech pan odłoży to do rana.

— Dobrze. Zostaję więc tutaj.

— To cudownie, senior! Jest pan moim gościem. Nie chcę, powtarzam, pieniędzy od pana, rozmowa o Saksonii będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością. A więc był pan w Dreźnie?

— Tak.

— I w Firnie?

— Kilka razy.

— W takim razie wie pan, że Elba płynie od nas w kierunku Drezna, co?

— Oczywiście.

— Przodkowie moi byli w Firnie znanymi ludźmi. Ojciec mój był kominiarzem.

— Aha!

— Dziwi się pan i słusznie. Kominiarz to symbol dążenia ku wyżynom. Taki człowiek oczyszcza miasto z groźnych elementów i ochrania ludzi przed szkodliwym działaniem sadzy. A niech pan zgadnie, kim był mój dziadek?

— Czy nie zechciałby mi pan sam tego powiedzieć?

— Z ochotą. Handlował chrzanem. Zdumiewam pana znowu, co? Chrzan to symbol pikanterii. Dodaje się go do kielbasy, kotletów wieprzowych. Gdy się go trze, łyzy napływają do oczu. Jest w tym coś tragicznego, coś, co przypomina Schillera, Goethego i Heinego, i dlatego mój dziadek był krzewicielem zarówno pikanterii, jak i tragizmu. Mogę być dumny z przodków. Starłem się też wszystkie zalety rodu przelać na córkę. Jeżeli pan jest amatorem chrzanu, ugoszczę pana wieczorem.

— Świetnie.

— Pozna pan przy tej okazji moją kuchnię i córkę. Gdybym miał zięcia, byłbym z jednej i drugiej bardzo zadowolony.

Tak gawędzili aż do kolacji. Straubenberger miał więc dosyć czasu, aby bliżej poznać gospodarza. Rezedilla trzymała się na uboczu. Myśli jej krążyły ciągle wokół śpiącego Gerarda, który był bliższy jej sercu aniżeli kominiarze i handlarze chrzanem całego świata. Poszła więc po kolacji spać, zostawiając mężczyzn pochłoniętych rozmową.

Gerard wszedł na drugi dzień do gospody wczesnym rankiem. Usłyszawszy kroki, Rezedilla pośpieszyła, by go powitać.

— Dobrze pan spał?

— Lepiej niż dobrze, seniorka — odpowiedział opierając strzelbę o stół.

— Nie jadł pan nic. Czy przynieść czekoladę? — Bardzo proszę.

Wyszła. Gerard usiadł przy stole. Po krótkiej chwili wszedł Pirnero i mruknął:

— Dzień dobry.

— Dzień dobry — odwzajemnił powitanie Gerard.

— Wyspał się pan?

— Tak.

— Wyobrażam sobie. Nigdy w życiu nie spotkałem takiego śpiocha. Niech mi pan powie, czy w sawannie też pan śpi tak długo?

— Może...

— W takim razie nic dziwnego, że nie towarzyszy panu zapach zwierzyny. Dobry dyplomata pozna na pierwszy rzut oka, że nie bawoły pan strzela, a bąki zbija.

Tak jak wielu ludziom, seniorowi Pirnerowi humor z rana nie dopisywał. Dziś skrupiło się to na Gerardzie. Ale jemu było wszystko jedno. Gospodarz usiadł przy stole i zaczął swoim zwyczajem wyglądać przez okno. Deszcz ciągle jeszcze padał, choć już nie tak ulewny, jak w nocy. Po chwili Pirnero rzekł ponurym tonem:

— Podła pogoda! Gerard milczał.

— Prawie taka sama jak wczoraj.

Gdy i teraz Gerard nie odpowiedział, gospodarz odwrócił się i zawołał:

— No?

— O co chodzi?

— Okropna pogoda, prawie taka sama jak wczoraj.

— To prawda.

— Nie przypuszczam, żeby przybył w taką pogodę. ~ Kto?

— Kto? Co to za pytanie! Oczywiście Czarny Gerard. O kim innym miałbym mówić?

— O, ten sobie niewiele robi z pogody. Jeżeli będzie miał ochotę, zjawi się na pewno.

— Tak pan sądzi? Trzeba panu wiedzieć, że go tutaj oczekujemy. Gdy senior wczoraj poszedł spać, zjawił się jakiś myśliwy, który go szuka.

— Skąd przybył?

— Z Liano Estacado. Jest senior zdziwiony, prawda? Tak, nie potrafiłby pan przejechać konno przez taki kawał świata, mimo żeś trzy razy silniejszy i wyższy od niego. Co to za człowiek! Kieszenie ma wypchane nuggetami.

— Naprawdę? Skąd pochodzi? Czy to Jankes?

— Nie, to Niemiec.

— Jak się nazywa?

— Andreas Straubenberger.

— Nie znam tego nazwiska.

— Przypuszczam. Ale właśnie nadchodzi! Straubenberger wszedł. Przywitawszy się, spojrzał na Gerarda, usiadł przy stole obok niego i zapytał:

— Czy senior jest tym, który spał od wczorajszego popołudnia? Gdy zapytany potwierdził skinąwszy głową, ciągnął dalej:

— To rozumiem, to się nazywa sen! Był pan zapewne bardzo zmęczony?

— O, tak.

— Czy długo ma pan tu zamiar pozostać?

— Może parę godzin.

— A potem dokąd?

— W góry.

— Do diabła! Niech pan uważa, podobno pełno tam czerwonych.

— Nie boję się ich.

— Nie można być lekkomyślnym. Gdy na pana napadną, będziesz inaczej śpiewał.

Czy zna pan Czarnego Gerarda?

— Mówią o nim wiele.

— Jeśli go pan przypadkiem spotka, niech mu pan powie, że jest tu ktoś, kto na niego czeka.

— A gdy zapyta, kto?

— Niech pan powie, że to Mały Andre.

— Do licha! Pan jest Małym Andre?

— Tak. Właściwie nazywam się Andreas Straubenberger.

Francuzi zrobili z Andreama Andre, a ponieważ nie jestem olbrzymem, nazywają mnie Małym. To mój przydomek z sawanny.

— Słyszałem o panu. Jest pan dzielny i myśliwy. Możemy mówić po niemiecku?

— Pańskie nazwisko?

— Mason.

Gospodarz przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu. Po chwili zwrócił się do Gerarda:

— Jak to? Pan, Francuz, rozumie po niemiecku?

— Tak.

— O, zaskakuje mnie pan!

— Może dojdzie pan jeszcze do przekonania, że byłby z niego świetny materiał na zięcia? — powiedział Mały Andre z uśmiechem.

Gospodarz się obruszył.

— On, moim zięciem? Człowiek, który zamawia jeden julep, miałby być mężem mojej córki? Człowiek, który nie ma nawet całej bluzy, śmiałyby wejść do mojej rodziny? Niedoczekanie! Przypatrzcie mu się, wygląd jego jest godny politowania. Szturchnę, a zwali się z nóg. Nie, nic z tego nie będzie!

Zaczął biegać po pokoju, stanął przed Gerardem i zapytał napastliwym tonem:

— Senior, zerka pan na moją córkę?

— Ależ nie tylko zerkam, przyglądam się jej uważnie — odparł Gerard ze spokojem.

— Więc niech pan zabiera swój gruchot, który nazywa strzelbą, i jazda stąd! Jeżeli jeszcze raz pokaże mi się senior na oczy, oskalpuję jak Indianin. Zrozumiano?

— Dobrze. Będę posłuszny, senior Pirnero. Ale przecież tak, jak stoję, nie wyrzuci mnie pan chyba? — wskazał ręką na swoją odzież.

— Jak mam to rozumieć?

— Mówię o ubraniu. Przy podłej pogodzie jeszcze pół biedy. Ale gdy słońce zaświeci, będzie widać, jak bardzo zniszczona jest moja bluza. Czy w sklepie nie znajdzie się dla mnie jakiś strój?

Stary zmarszczył brwi i zapytał:

— Senior chce to za darmo? Pieniędzy przecież pan nie ma, co?

— Kto to powiedział? Uzbierałem sobie trochę grosza, przypuszczam, że wystarczy na ubranie.

— Może wełniane spodnie i wełnianą bluzę? Mam jednak tylko jedno ubranie na pańską miarę, i to bardzo drogie.

— Jakie?

— Są to spodnie ze skóry jeleniej, biała garbowana koszula, skórzana kurtka i mokasyny. Do tego kapelusz z przyszyżonego futerka bobrowego i pasek.

— Hm, podoba mi się.

— Co z tego, ubrania pan nie dostanie, bo nie ma czym zapłacić.

— Hm, ale obejrzyć je chyba mogę?

— Obejrzyć? No, na tyra nic nie stracę. Może poleci je pan komuś. Pokażę.

— Chodźmy do magazynu!

— Do magazynu? O. nie! Kto pije tylko jeden julep i smali cholewki do mojej córki, ten nie ma tam wstępu. Sam przyniosę ubranie. Siedz pan tutaj, dopóki nie wrócę!

Po pewnym czasie przyniósł i rozłożył ubranie na stole. Obaj myśliwi oglądali je z zachwytem.

— Do diabła! — rzekł wreszcie Mały. — Trudno o lepszą robotę. Gdybym miał pański wzrost, senior, kupiłbym to ubranie natychmiast — zwrócił się do Gerarda.

Pirnero zawołał:

— On by je kupił?

— Ale niech przynajmniej przymierzy. Chcę zobaczyć, jak będzie na nim leżało — poprosił Mały Andre.

— Nie mam nic przeciwko temu. Sam jestem ciekaw, jak będzie wyglądać. Taka sposobność nieprędko się trafi. — Zwracając się do Gerarda, dodał: — Przejdź tam senior, za szafę i włóż ubranie, ale nie na dłużej niż dwie minuty.

Gerard uśmiechnął się. Zmieniwszy odzież, wyszedł na środek pokoju. Pirnero i Andre zdumieli się, mieli bowiem wrażenie, że stoi przed nimi zupełnie inny człowiek.

— Do diabła! — zaklął Mały. — Czy to jakieś czary?

— To dopiero widać, jak ubiór zmienia człowieka! — zawołał Pirnero. — Wygląda teraz jak prawdziwy myśliwy. Ubranie leży jak ulał.

Zaczął obracać Gerardem na wszystkie strony, w końcu powiedział:

— No, dosyć tego! Przebierz się pan i jedź, dokąd oczy poniosą. Wiem już, jaki można zrobić z seniora użytek.

— Jaki — zapytał Gerard.

— Byłbyś dobrym manekinem.

— Dziękuję! Więc uważa senior, że ubranie leży dobrze?

— Świetnie. Ale to się panu na nic nie zda!

— Mogę się chyba dowiedzieć o cenę?

— Owszem. To najlepsze i najdroższe ubranie. Kosztuje osiemdziesiąt dolarów.

— Tylko tyle?

— Czy pan zwariował? Rozbieraj się, senior!

— Ani mi się śni, senior Pirnero. Podoba mi się to ubranie. Zatrzymuję je.

— Niech się pan nie wygłupia! Bez pieniędzy stary Pirnero ubrań nie sprzedaje.

— Kto powiedział, że nie mogę zapłacić?

— Skąd weźmie pan tyle pieniędzy?

— Zaczekajcie chwilę. Osiemdziesiąt dolarów? Czy jest tu gdzieś waga?

— Po co waga? Czy ma pan nuggety?

— Cierpliwości.

— Dobrze, idę po wagę. Senior Andre, pan odpowiada za tego jegomościa w razie, gdyby uciekł!

— Może pan być spokojny. Gdyby chciał wymknąć się z pokoju, zanim pan wróci, wpakuję mu kulkę w łeb.

Stary ruszył po wagę. Rezedilla, która w kuchni słyszała całą rozmowę, zjawiła się, aby być świadkiem zwycięstwa Gerarda. Jakże inaczej wygląda teraz niż wczoraj! — pomyślała. Po chwili Pirnero wrócił z wagą.

— Gdzie są nuggety? — zapytał ostro.

— To nie nuggety.

— A co?

— Zaraz pan zobaczy.

Wyjął nóż, sięgnął po strzelbę, położył ją na stole i kilkakrotnie naciął kolbę nożem. Odpadł z niej spory kawał złota.

— Do diabła — zawołał stary.

— Do stu tysięcy diabłów! — krzyknął Mały. — Kim pan jest, senior?

— Nabywcą tego ubrania — odparł ze spokojem zapytany i uderzył jeszcze kilka razy w kolbę.

Pirnero zdreptał.

— No i co? — zapytał Gerard. — Czy uważa pan jeszcze moją strzelbę za stary, podły grat?

Andre ujął trapera za ramię i zawołał:

— Panie, toż pan jest Czarnym Gerardem! Niech mnie diabli porwą, jeżeli to nieprawda!

— Zgadł pan.

— Ale dlaczego ukrywał to senior przedtem?

— Bawiła mnie ta maskarada. Pirnero chwycił się za głowę:

— Jestem osioł, patentowany osioł!

— Miałem wrażenie, że jest pan wielkim dyplomatą — Gerard był szczerze ubawiony.

— Ciołek jestem, nie polityk — biadolił stary. — Ale naprawię mój błąd. — To mówiąc wziął córkę za rękę i chciał ją przyciągnąć do siebie, ale opierała się. — Oto jest, senior! — zawołał Pirnero. — Niech pan będzie mym zięciem!

Rezedilla zaczerwieniła się, co nie uszło uwagi Gerarda.

— Senior Pirnero, nie popełniaj kolejnego błędu. Seniorita ma prawo wybrać sobie tego, kto jej się podoba.

— Dlaczego nie powiedział pan od razu, kim jest? — zapytał stary zakłopotany.

— Nie chciałem, żeby wiadano, że Czarny Gerard oczekuje tutaj kogoś.

— Czy ten ktoś, to ja? — zapytał Mały Andre.

— Prawdopodobnie.

— W takim razie oświadczam, że...

— Ani słowa więcej! — uciął Gerard, wskazując wzrokiem Pirnera. — Pomówimy o tym później. Czy mam się wynosić, senior Pirnero?

— Na miłość boską, nie!

— I będę mógł powrócić? Miał mnie pan przecież oskalpować, gdybym się na to odważył.

— Ach, senior, to był tylko żart. Wszyscy mieszkańcy Pirny chętnie żartują.

— No dobrze. Odważ, senior, złoto i daj mi resztę, bo warte jest więcej niż osiemdziesiąt dolarów.

Stary spełnił życzenie. Gdy odniósł wagę, zaczął biegać po całym domu, aby zawiadomić służbę, że obcy przybysz-włóczęga jest prawą ręką prezydenta Juareza.

Tymczasem Mały Andre zwrócił się do Gerarda:

— Dlaczego miałem milczeć, senior? Gerard usiadł naprzeciw i powiedział:

— Przede wszystkim, oto moja ręka. Jesteśmy myśliwymi i słyszeliśmy o sobie wiele. Nie prawmy sobie komplementów, nie tytułujmy się, mówmy po prostu per „ty”. Zgoda?

— Zgoda! — powtórzył tamten, wyciągając rękę.

— Doskonale. Powinieneś pamiętać o tym, że przy Pirnerze nie można wiele mówić. To gaduła.

— Dobrze. Ale do rzeczy. Wiesz chyba, po co tu przybyłem?

— Oczekuję wiadomości od generała Hannerta. Czy to ty je przywoziłeś?

— Tak.

— Masz pieniądze dla Juareza?

— Kilka milionów. Generał powiedział mi, że cię tutaj spotkam. Czekam na twoje rozkazy.

— Ilu was jest?

— Sześćdziesięciu. Czterdziestu Amerykanów i dwudziestu westmanów.

— Jak przetransportowaliście pieniądze?

— Na mułach. Są bardzo wyczerpane.

— To niedobrze. Musimy się postarać o wypoczęte. Ile mułów potrzeba?

— Pięćdziesiąt, Gerardzie.

— Postaram się o nie jeszcze dzisiaj. Sprawę doprowadzenia oddziału do prezydenta pozostaw mnie.

— Generał uważa, że najlepiej będzie przechować pieniądze tu, w Guadalupe. Juarez stąd je sobie odbierze.

— Byłem tego samego zdania. Ale zaszły pewne okoliczności, które spowodowały konieczność zmodyfikowania poprzedniego planu. W najbliższych dniach należy się spodziewać tutaj wizyty Francuzów.

— Do licha! W takim razie niebezpieczne to miejsce na przechowywanie pieniędzy.

— No, tak źle nie jest. Nie jesteśmy znowu tak bardzo nieprzygotowani na tę wizytę. Francuzi niejedną kroplę krwi przeleją. Mam do dyspozycji pięciuset Apaczów, z ich pomocą spodziewam się odeprzeć Francuzów.

— A my? Czy nie możesz nas poprowadzić?

— Niestety, nie powinniście się zatrzymywać. Juarez potrzebuje pieniędzy. Zresztą, wmieszanie się obcych wojsk mogłoby doprowadzić do kolejnego konfliktu dyplomatycznego, których i tak mamy dosyć. Udacie się wprost do Juareza. Droga prowadzi wprawdzie przez teren Komanczów, ale nie ma obawy, będzie wam bowiem towarzyszyć moich pięciuset Apaczów.

— Naprawdę? To świetnie! Ale gdzie oni przyłącza się do nas?

— Omówię to dziś w południe z moim przyjacielem Niedźwiedzim Okiem. Mam się z nim spotkać w górach Tamises. Jeżeli chcesz jechać tam ze mną, przygotuj się do jazdy. Za pół godziny wyruszę.

Wkrótce potem Gerard wyszedł z gospody. W korytarzu czekała na niego Rezedilla.

— Senior, więc znowu pan odjeżdża? Przecież przybyłeś dopiero wczoraj!

— Muszę — odpowiedział z uśmiechem. — Pani ojciec wskazał mi przecież drzwi.

— Ach, niech pan tego nie bierze na serio, nie miał pojęcia, że pan jest Czarnym Gerardem. Teraz w ogień by za panem skoczył.

— Czy gniewa się pani, że zataiłem swoje przezwisko?

— Skądże znowu! Widocznie miał pan po temu powody, zresztą już wczoraj wiedziałam, kim pan jest.

Gerard spojrział na nią ze zdumieniem.

— Skąd?

— Czy nie pamięta pan, że zasnął w pokoju na krześle?

— Tak, przypominam sobie.

— Podczas pańskiego snu dokładnie obejrzałam strzelbę.

— Naprawdę? Po co?

— Aby zobaczyć, czy kolba jest złota.

— Sapristi! — zaklął. — Dlaczego pani to zrobiła?

— Podejrzewałam, kim pan jest. Czy przebaczy mi senior ciekawość?

— Ależ oczywiście, seniorita. Z pewnych powodów chciałem zachować incognito. Ojciec pani jest wielkim gadułą, mimo że ma umysł polityka i dyplomaty.

— Czy mogę przynajmniej wiedzieć, dokąd się pan teraz udaje? Gerard był uszczęśliwiony, że Rezedilla darzy go sympatią.

— Dlaczego pani o to pyta?

Zarumieniła się i zamilkła. Ujął ją za rękę, mówiąc:

— Rezedillo, dziękuję pani. Widzę, że ma pani dla mnie dużo serdeczności. Budzi to we mnie nadzieję, że przebaczy mi pani moją przeszłość.

Obrzuciła go ciepłym spojrzeniem i odrzekła:

— Wyspowiadał się pan przede mną tak szczerze, Gerardzie, że byłoby grzechem gniewać się na pana. Widzę tylko, kim pan jest, a nie kim był.

Ucałował jej rękę. Chciał coś odpowiedzieć, ale owładnęło nim wzruszenie tak silne, że słowa z siebie nie mógł wydobyć. Wyszedł z domu.

Rezedilla długo patrzyła za nim tęsknym wzrokiem. Wreszcie za zakrętem jeździec i koń zniknęli jej z oczu.

NIEPEWNY TRON

Gdy Ferdynand Cortes podbił Meksyk, król hiszpański przyrzekł mu, że otrzyma wszystko, czego tylko zażąda. Przebiegły Hiszpan przypomniał sobie Dydonę, która położyła podwaliny pod Kartaginę. Naśladowując sławną królową, poprosił o kawał ziemi, który można by nakryć skórą wołową. Król oczywiście obiecał, że spełni tę nader skromną prośbę. Wtedy Cortes kazał pokrajać duży kawał skóry wołowej w cieniutkie pasy i oznaczył nimi obszar o wiele większy, niż król mógł przypuszczać. Posiadłość i założone w niej miasto istnieją do dziś. Na pamiątkę pomysłu nazwano ją Cuernavaca, co znaczy wołowa skóra.

Wielki czworobok starego zamku, architektonicznie nie mający żadnej wartości, zmieniony został z biegiem czasu w koszary. Maleńkie miasteczko zbudowano, jak wszystkie osiedla meksykańskie, bardzo regularnie. Bruki były fatalne, i to tylko na niewielu ulicach. Mroków nocy nie rozjaśniały nawet lampy naftowe, a cóż dopiero mówić o oświetleniu gazowym. Za to położenie miasteczka było przepiękne. Odległe o jakieś trzydzieści kilometrów od Meksyku, leżało w kotlinie ze wszystkich stron osłoniętej od wiatru. Cesarza Maksymiliana, człowieka o fantazji poety, oczarowały piękność i bogactwo tropikalnej przyrody, dlatego upatrzył sobie tę niepozorną miejscinę na prywatną rezydencję. Gdy tylko sprawy państwa pozwalały mu i jego małżonce rozstać się na kilka dni ze stolicą, śpieszyli do Cuernavaca, aby znaleźć tam wypoczynek dla ducha i ciała. Czasami Maksymilian przyjeżdżał sam, by z dala od intryg dworskich naradzić się z kilkoma zaufanymi.

Trudno wyobrazić sobie coś mniej cesarskiego od skromnej willi, którą zajmował cesarz. Otaczał ją jednak wspaniały ogród. Każdemu, kto nań patrzył, wydawał się niczym z bajki. Wszystko było w nim takie, jakie stworzyła natura, żaden ogrodnik nie ingerował w życie kwiatów, krzewów i drzew. Poza przepięknymi, różnokolorowymi różami, rosły tu olbrzymie kaktusy, aloesy, potężne palmy najrozmaitszych gatunków, dzikie drzewa cytrynowe i pomarańczowe, majestatyczne cyprysy. Miało się wrażenie, że królowa kwiatów zazdrosna jest o dumne drzewa i chcąc je przyćmić, oplótła ich pnie i gałęzie wszelkimi swymi odmianami, od białych poprzez różowe do purpurowych i ciemnoczerwonych; rozchodziła się od nich delikatna, przecudowna woń. Wśród tej pachnącej głuszy wiły się ścieżki. Ciszę mącił tylko śpiew najrozmaitszych barwnie upierzonych ptaków. Był to raj w miniaturze, prawdziwy Eden, którym zachwyciłby się sarn Harfis, poeta perski, piewca miłości i róż.

Pewnego ranka po tych ścieżkach spacerował cesarz Maksymilian w towarzystwie mężczyzny ubranego w bogaty, lśniący od złota narodowy strój meksykański. Człowiek ten — średniego wzrostu brunet — miał żółtawą cerę, bardzo żywą mimikę twarzy i czarne, płonące żarem oczy, tak charakterystyczne dla ludzi południa. Był to generał Mejia, Indianin, wierny przyjaciel cesarza; dzielił ze swym władcą wszystkie cierpienia i na koniec wraz z nim poniósł śmierć.

Rozmowa, którą prowadzili, nie pasowała do rajskiego ogrodu.

— Jest pan wielkim optymistą, kochany generale — powiedział w pewnym momencie cesarz swym słabym, cichym głosem. Zerwał z krzewu różę i zaczął ją wachać.

— Oby jego cesarska mość miał rację! Oby Bóg dał mi możliwość mówienia tego, co chcę, a nie tego, co muszę.

Maksymilian zatrzymał się i spojrzał na niego badawczo.

— Dlaczego nie mówi pan tego, co chce? Generał milczał przez chwilę, potem odparł wolno:

— Nie pozwala mi na to majestat cesarza.

— Czy majestat mój tak oślepia — zapytał Maksymilian pół żartem, pół serio. — Nie przypuszczałem, że widok tronu może wywierać tak przytłaczające wrażenie.

— A jednak podtrzymuję to, co powiedziałem.

— Tutaj nie jestem przecież cesarzem, ale zwykłym człowiekiem.

— Te słowa podyktowane są łaskawością waszej cesarskiej mości. Nie upoważniają mnie jednak do tego, abym prywatnemu człowiekowi powiedział coś takiego, co mogłoby zmartwić lub obrazić cesarza.

Maksymilian położył rękę na ramieniu Indianina i poprosił:

— Niechże pan mówi, generale, na miłość boską! Cesarz nie będzie się na pana gniewał.

— Ależ...

— W takim razie rozkazuję panu.

Ton jego głosu wykluczał jakikolwiek sprzeciw. Mejia zwiesił głowę.

— Spełnię rozkaz, choć wiem, że narażam się na utratę łaski cesarskiej.

— Nie utraci jej pan. Niech senior pamięta, że mówi z przyjacielem, który zniesie również nieprzyjemne wiadomości. Do rzeczy więc. W pana obecności przedstawiałem plan sytuacji. Nie zgadza się senior z nim?

— Niestety, nie mogę. Wasza cesarska mość nie powinien zapominać, że jest na obcym terenie. Meksykanie mówią o waszej cesarskiej mości: „Emperador que quiso lo mejor

— cesarz, który ma najlepsze chęci”. Są jednak głęboko przekonani, że wasza cesarska moc nie potrafi zrozumieć i ogarnąć osobliwych stosunków meksykańskich. Ta ziemia paruje jeszcze krwią, a lud jest niebywale krewki i gwałtowny. Żyjemy bez ustaw, zaczynamy je dopiero tworzyć. Gdy Chrystus wszedł do Jerozolimy, cały lud wołał: „Hosanna!”, a w trzy dni później ukrzyżowano go.

Cesarz szedł jakiś czas w milczeniu. Wreszcie zapytał:

— Ma pan na myśli zapewne hosannę mego wjazdu?

— Tak, panie.

— Czy wątpi senior w szczerść tego entuzjazmu?

— Wątpię. Kto pana przyjmował, najjaśniejszy panie? Ludność? Nie. Francuzi oraz ich zwolennicy. Entuzjazm był sztuczny, dobrze wiem o tym. Jeżeli Francuzi przypuszczają, że pozycja ich tutaj jest mocna, to się grubo mylą.

— Mówi pan o wojsku, na którego czele stoją?

— Czy Napoleonowi I udało się zdobyć Hiszpanię! Tak samo bratankowi jego nie udało się utrzymać Meksyku. Francuzi nie tylko nie mają pewnego gruntu pod nogami, lecz stoją na źle spojonym pomoście, który w każdej chwili może się załamać. Meksyk to setki kraterów, lud jego to wulkan. Pał się w nim podziemne siły, a wybuch będzie okropny w skutkach. Gdyby Napoleonowi udało się nawet wysłać milion Turków, nie ma pewności, czy wszystko nie runie.

— Co za perspektywa!

— Ośmielam się przedstawić ją waszej cesarskiej mości. Niech się senior strzeże przed oddawaniem swego losu w ręce władcy znad Sekwany. Cesarzowi Meksyku nie wolno być marionetką. Musi opierać się na własnych siłach. Nie wolno mu być łatwowiernym, fantazjować i marzyć. Powinien wejść do tego kraju nie z fantastycznymi planami, lecz z bronią w ręku. Meksykanie są wrogami porządku. Przypominają półdzikie bestie, którym nie wolno okazać dobroci i łagodności, ale należy natychmiast chwycić ich w ryzy.

Generał wypowiedziawszy te słowa poczuł wielką ulgę. Wreszcie mówił prawdę, szczerą prawdę. Wreszcie nie używał wygładzonych sformułowań przyjętych w rozmowach z koronowanymi głowami. Cesarz szedł obok niego ze skupionym wyrazem twarzy. Poczuł się dotknięty, ale nie zdradził tego nawet gestem.

Indianin ciągnął dalej:

— Meksykanie nienawidzą Europejczyków i nie potrafią kochać tego, kogo im Europa przeznaczyła na władcę.

— Generale! Posuwa się pan za daleko!

— Wasza cesarska mość! Miałem przecież mówić prawdę!

— No tak! Ale czy rzeczywiście jestem marionetką podstawioną przez innych?

— Przyznaję, że to mocno powiedziane. Ale ludzie tutejsi używają tego określenia.

Cesarz zmarszczył czoło.

— Kto mianowicie?

— Przede wszystkim Meksykanie.

— A oprócz nich?

— Sami Francuzi.

— To nieprawda!

— Słyszałem sto razy. Zaręczam słowem honoru.

— Z ust Francuzów?

— Tak, z ust wszystkich oficerów.

— Mój Boże! Maksymilian złożył ręce i spojrzał ku niebu. Mejia zacisnął usta, zmarszczył czoło. Po chwili powiedział:

— Chciałbym być cesarzem.

— Dlaczego?

— Prosiłbym wtedy generała Mejję, aby mi doradził, co mam uczynić.

— Proszę pana o to.

— Chwyciłbym za szablę i wypędził Francuzów z Meksyku.

— Generale! Jako żołnierz wie pan najlepiej, że to niemożliwe.

— Ależ przeciwnie! Nie ma nic łatwiejszego.

— Zdumiewa mnie pan.

— Należy tylko odwołać się do Meksykanów. Staną jak jeden mąż za swym cesarzem.

Wtedy wasza cesarska mość będzie przywódcą narodu, wtedy wasza cesarska mość dowiedzie, że jest władcą, opierającym się na własnej sile. Będą waszej cesarskiej mości posłuszni, będą waszą cesarską mość ubóstwiać!

— Nie podzielam pańskiego zdania — zaprzeczył Maksymilian. — Zapomniał pan o Juarezie, o Panterze Południa i o innych przywódcach partyzanckich, którzy chętnie wcielają się w rolę cesarza. Zapomniał pan o Anglii, o Ameryce, o Hiszpanii. A także o moich zobowiązaniach wobec Francji...

— Ach! — przerwał generał. — Meksykiem może rządzić tylko miecz. Kto chce połączyć partie i kierować nimi, musi mieć mocną, twardą rękę i wystrzegać się wszelkiego sentymentu. Być może w przyszłości będzie można zamienić miecz na palmę.

— Ale obecnie trzeba się liczyć z polityką.

— Co mogą zrobić dyplomaci w obliczu dokonanych faktów?

— A Juarez, ten potężny przeciwnik? A inni?

— Z obrzydzeniem myślę o tych drobnych kreaturach, które uważają się za wodzów i marzą tylko, aby innych strzyc jak barany. Taki na przykład Cortejo...

— Czy to ten, który zabiega o względy Pantery Południa?

— Tak, ten sam Pablo Cortejo, którego córka rozsyła swą podobiznę, żeby zdobyć stronników.

— Widział pan tę fotografię? Bo ja, niestety, nie.

— Nie? Tej przyjemności nie powinna sobie wasza cesarska mość odmówić. — Wyciągnął zza czerwonej jedwabnej szarfy fotografię i podając ją cesarzowi, dodał: — Trzeba znać swoich przeciwników. Cesarz patrzył przez chwilę na podobiznę córki Corteja, po czym oddał ją generałowi i pokiwał głową z ubolewaniem:

— Biedna dziewczyna!

— Mejia znowu zmarszczył czoło. Kochał cesarza, ale był człowiekiem czynu i nienawidził wszelkiej zniewieściałości.

— Biedna? Zupełnie nie żałuję tej panny. Ośmiesza się tylko. W dodatku to niebezpieczna intrygantka. Za wszelką cenę trzeba ją unieszkodliwić.

— Więc również jej ojca uważa pan za niebezpiecznego?

— Oczywiście.

— Jako pretendenta do tronu?

— O nie! — uśmiechnął się Mejia. — Niebezpieczny jest, moim zdaniem, każdy człowiek, wszystko jedno, kobieta czy mężczyzna, który nie idzie ze mną, a przeciw mnie i...

Nie dokończył zdania, bo w pobliżu rozległy się kroki. Odwrócili głowy, ujrzeli cesarskiego kamerdynera Grilla, który w Cuernavaca pełnił funkcję ochmistrza.

— O co chodzi? — zapytał Maksymilian dobrotliwie.

— Niech wasza cesarska mość wybaczy. Przybył pan marszałek — zameldował Grill.

— Basaine?

— Tak. Pragnie mówić z waszą cesarską mością.

— Już idę.

Maksymilian zawrócił w kierunku willi. Mejia zasepił się. Cesarz wiedział doskonale, że Basaine i generał są zaciekłymi wrogami. Zobaczywszy więc ponury wyraz twarzy Indianina, zapytał:

— Czy mam pana pożegnać, generale?

— Ośmielam się prosić, by mi było wolno towarzyszyć waszej cesarskiej mości, jeżeli nie będzie to sprawa poufna. Nie chciałbym, aby Basaine miał wrażenie, że się go boję.

— Dobrze — zgodził się cesarz. — Z pewnością coś ważnego sprowadza marszałka do Cuernavaca. Nie lubi przecież tego miasta. A oto i on.

— Niechaj wasza cesarska mość wybaczy — Basaine skłonił się ceremonialnie — że ośmielam się zakłócić błogą ciszę tego miejsca.

— Cóż znowu! Zawsze jest pan miłym gościem, kochany marszałku — powiedział Maksymilian uprzejmie.

— Tym bardziej ubolewam, że przynoszę nieprzyjemne wieści.

— Muszę przyznać, że od pewnego czasu niewiele miłych wiadomości od pana otrzymałem, toteż pańskie słowa nie są dla mnie niespodzianką.

Wyrażna w tym zdaniu złośliwość kłóciła się z pogodnym, a nawet wesołym tonem, jakim cesarz je wypowiedział. Zbiło to z tropu Francuza.

— Czy wasza cesarska mość każe mi natychmiast złożyć raport? — spytał.

— Proszę o to.

— Czy w obecności generała?

Obrzucił Meję nieprzyjaznym wzrokiem i złożył mu głęboki ukłon. Pytanie było nietaktem wobec cesarza i obrazą dla Meksykanina, ale obaj zlekceważyli to. Z kolei zapytał Maksymilian:

— Czy to ważna tajemnica?

— Nie, przeciwnie, to sprawa zupełnie jawna.

— W takim razie, monsieur, niech pan mówi.

— Chodzi o tego Pabla Corteja, o którym już niejednokrotnie wspominałem.

— Przypominam sobie.

— Człowiek ten był dotychczas tylko śmieszny, teraz zaś zaczyna być niebezpieczny.

Werbuje ludzi.

— Gdzie?

— Nawet w samej stolicy. Wczoraj aresztowano kilku jego zauszników. Zdaje się, że ma również agentów w kwaterze głównej. I jeszcze jedno: połączył się z Panterą Południa.

— Wiem o tym.

— Dowiedziałem się ponadto, że Pantera Południa otrzymał kilka tysięcy karabinów oraz wielką ilość ołowiu i prochu. Dostarczył mu to amerykański bryg.

— Gdzie miał miejsce wyładunek?

— W Guazacalco. Okręt ścigano, ale umknął,

— Prezydent Stanów Zjednoczonych wkracza więc do akcji.

— Zawiadomię o tym cesarza Napoleona.

— Nie sędzę, aby mógł on cokolwiek dla nas zrobić. Marszałek zignorował tę uwagę i ciągnął dalej:

— Jestem przekonany, że ta dostawa broni to sprawka Corteja. Ale na tym nie koniec. W swojej bezczelności posunął się do tego, że kazał w nocy rozlepiać ulotki na rogach ulic.

— W jakim mieście?

— W stolicy. Przedsięwzięłem natychmiast konieczne środki. A teraz stoję przed waszą cesarską mością, aby prosić o zatwierdzenie tego, co chcę zrobić, aby ostatecznie ukrócić działanie tego człowieka.

— Niech pan mówi.

— On wprawdzie przebywa na południu, ale jego córka mieszka w Meksyku. Nikt jej nie niepokoi, chociaż odważyła się jawnie występować przeciw waszej cesarskiej mości.

— Nie chciałbym wojować z kobietami.

— I ja także. Ale mimo to nie radziłbym puścić jej tego płazem. Czy wolno mi pokazać ulotkę rozlepianą przez ludzi Corteja?

— Proszę.

Marszałek wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i wręczył cesarzowi. Maksymilian zaczął czytać, Basaine obserwował go uważnie. Gdy w pewnym momencie cesarz się zasepił, w oczach marszałka pojawiło się zadowolenie. Właśnie dlatego przywiózł tę ulotkę zamiast przysłać ją przez kogokolwiek, by zobaczyć taki wyraz twarzy cesarza.

Maksymilian podał papier Meji.

— Panie generale — powiedział — niech i pan przeczyta, i to głośno.

DO WSZYSTKICH DZIELNYCH MEKSYKANÓW I WOLNYCH INDIAN!

Nieprzyjaciel wtargnął do kraju. Od dłuższego czasu rządzi się w Meksyku jak szara gęś. Niszczy nasze pola, uwodzi żony i córki, zabija mężów, braci i synów.

Władca Paryża, sam niegdyś zbieg pogardzany przez wszystkich, odważył się przysłać nam regenta, który zwie się cesarzem Meksyku. Człowiek ten jest marionetką Napoleona III.

Meksykianie, czy będziemy znosić to dłużej? Nie! Staniemy ramię przy ramieniu i wypędzimy z kraju tych przybłędów.

Pantera Południa ostrzy już pazury, gotuj e się do skoku. Chwyćmy za broń i my! Pomyśleliśmy o wszystkim, co jest konieczne, aby zwyciężyć wroga. Mamy broń, amunicję,

żywność. Brak nam tylko ludzi, którzy potrafią pokazać, że są dzielnymi Meksykanami i wolnymi Indianami.

Dlatego niech się wszędzie rozpocznie werbunek. Utworzymy armię, przed którą Francuzi będą musieli uciekać. Agitatorów już porosyłano. Usłyszycie ich słowa — poznacie ich po tym, że i moje imię wymieniać będą. Przyłączajcie się do nich! Idźcie za nimi tam, gdzie was będą prowadzić!

Słońce wolności zaświeci nad Meksykiem dopiero wtedy, gdy wypędzimy z gór ciemieńców naszej ojczyzny i wrzucimy ich ciała do morza, w którym zginą tak, jak to się niegdyś stało z Faraonem i jego wojskiem.

Pablo Cortejo

— No i co pan na to, generale? — zapytał cesarz.

— To brednie! — Indianin pogardliwie wzruszył ramionami.

— Ale jednocześnie bardzo niebezpieczne! — dodał Basain. — Przecież to publiczne wezwanie do buntu! Tu nie wystarczy wzruszenie ramionami.

Była to wyraźna aluzja do reakcji generała. Aby zapobiec kłótni, cesarz rzucił szybko:

— Jestem tego samego zdania. Ale co według pana marszałka należy uczynić?

— Przede wszystkim zamknąć córkę tego człowieka.

— A po co?

— Dowiodła, że jest groźna.

— Tylko komiczna. Mówiłem już o tym z generałem.

— Ponadto należałoby przeszukać dom Corteja.

— Na to się zgadzam.

— Trzeba skonfiskować jego dobra.

— Ma jakieś posiadłości?

— I to znaczne.

— Przepraszam — wtrącił Mejia. — O ile mi wiadomo, posiadłości te należą do hrabiego Rodrigandy. Cortejo był sekretarzem hrabiego.

— A więc Rodriganda jest współwinny, bo odpowiada za swoich ludzi! — odparował marszałek.

— Tylko bez gwałtów, marszałku — obruszył się cesarz. — Jest pan wodzem naczelnym i w sprawach wojskowych może pan robić to, co uważa pan za stosowne. Ta jednak sprawa przekracza pańskie kompetencje. Ostatnie moje słowo: zezwalam jedynie na

przeszukanie domu Corteja. Na nic więcej. Dziewczynę zaś skazuję na banicję. Niech opuści kraj i gdzie indziej próbuje swych sztuczek.

Basaine usiłował jeszcze dyskutować, cesarz jednak nie ustępował. Wreszcie marszałek, z trudnością ukrywając gniew, oddalił się. Wtedy cesarz rzekł do generała:

— Czy uważnie przeczytał pan ulotkę?

— Tak jest.

— Ten ustęp również?

— Który?

— No ten, w którym nazywają mnie marionetką Napoleona.

— Niestety.

— Miał pan więc rację, ale udowodnię tym panom, że pod żadnym względem nie jestem i nie będę marionetką Napoleona. Czy obserwował pan Basaine'a, gdy czytałem ten tekst?

— Nawet bardzo dokładnie.

— Zauważył pan coś?

— Wasza cesarska mość myśli o zadowoleniu, którego nie potrafił ukryć?

— No właśnie. Widzi pan: on dlatego sam wręczył mi tę ulotkę, bo cieszy go moje niepowodzenie. Chodźmy do domu, kochany Mejia. Jestem trochę zdenerwowany i chciałbym porozmawiać z cesarzową. Obecność jej zawsze działa na mnie kojąco.

Josefa Cortejo musiała z biegiem czasu zrezygnować z planu poślubienia Alfonsa. Od lat przebywał w Hiszpanii. Był wprawdzie kawalerem, ale nie pokazywał się w Meksyku. Uczucie Josefy do Alfonsa powoli wygasało. Rzuciła się więc z całą namiętnością w wir polityki. Marzyła o tym, żeby zostać córką króla lub prezydenta.

Pewnego dnia stała po południu przed lustrem i przyglądała się sobie. Miała za chwilę wyjść do miasta.

— Czy nie sądzisz, Amaiko, że chudnę?

— Ależ nie, seniorka.

— Naprawdę? Popatrz na ramiona, dawniej były o wiele bardziej zaokrąglone.

— Ależ i teraz są takie same. A lśnią jak alabaster.

Amaika kłamała. Kościste ramiona Josefy okrywała ciemna skóra jak u Cyganki.

— A więc jestem jeszcze piękna?

— Ależ oczywiście! Niektóre kobiety z biegiem lat stają się coraz piękniejsze. Seniorka właśnie do nich należy.

— Ubierz mnie więc, abym naprawdę mogła się podobać. Chcę pójść do fotografa. Zamówiłam znowu dziesięć tuzinów zdjęć.

— Czy mają to być podarunki dla stronników pani ojca?

— Tak. Czy nie uważasz, że był to wspaniały pomysł z tym ofiarowywaniem każdemu mojej podobizny?

— Oczywiście. Nie tylko wspaniały, ale i wzniosły.

Gdyby nie to, że w korytarzu rozległy się kroki, rozmowa trwałaby dalej. Na progu stanęła służąca, za nią zaś ujrzała Josefa kilku panów. Był to alcalde, sędzia śledczy, w otoczeniu policjantów. Weszli bez zameldowania. Josefa zapytała ostrym tonem:

— Co to znaczy, moi panowie? Czy nie wiecie, co winniście damie?

— Wiemy doskonale — odparł alcalde. — Będziemy panią tak traktować, jak seniorita na to zasługuje. Czy pani mnie zna?

— Owszem — potwierdziła skwapliwie.

— Przychodzę w imieniu cesarza.

— Cesarza? — przeraziła się.

— Tak jest. Gdzie znajduje się pani ojciec?

— Wyjechał podobno do Oaxaca, ale nie jestem pewna.

— Kiedy ma wrócić?

— Nie wiem.

— Czy zna pani Panterę Południa?

— Nie.

— Nie był tutaj?

— Nigdy.

— A ojciec pani go zna?

— Tego nie wiem.

— Więc może pani jest naprawdę niewinna? A czy nie widziała seniorka ulotek rozlepionych po całym mieście?

— Nie.

— Widniało na nich nazwisko pani ojca.

— Nic mi o tym nie wiadomo, senior. Podczas nieobecności ojca prowadzę tu samotne życie. Czyżby autorem ulotek był rzeczywiście mój ojciec?

— Oczywiście. Są przecież podpisane jego imieniem.

— Czy ktoś inny nie mógł podpisać za niego? Alcalde stropił się.

— To jest możliwe — przyznał po chwili.

— Co stanowi treść tych ulotek?

— Wezwanie do buntu i zdrady stanu.

— Zatem mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego! Nie jest zdrajcą stanu.

— Ale sprzymierzył się z Panterą Południa.

— Nic mi o tym nie wiadomo. To plotka.

— Zobaczymy. Przede wszystkim przeprowadzę u pani rewizję.

— Matko Boska! Tu, w moim pokoju?

— Tu i w całym domu.

— Niech pan szuka i niech Bóg panu pomaga. Nic nie znajdziecie, jesteśmy niewinni!

Urzędnik i policjanci wykonywali swą powinność typowo po meksykańsku, to znaczy ospale i powierzchownie. Rewizja trwała kilka godzin. Skończyła się dopiero wieczorem. Alcalde znów zjawił się u Josefy.

— Nic nie znalazłem — powiedział szczerze.

— Spodziewałam się tego.

— Przypuszczam więc, że jest pani niewinna.

— A ja jestem tego pewna.

— Mimo to muszę pani zakomunikować coś bardzo niemiłego.

— Chce mnie pan przestraszyć, senior?

— Ani mi to w głowie. Spełniam tylko rozkaz cesarza.

— O, Dios! Zaczynam się bać naprawdę!

— Nie ma czego, nic się pani nie stanie. Musi tylko seniora zmienić miejsce pobytu.

— Zmienić miejsce pobytu? Jak to mam rozumieć?

— Zostaje pani wydalona z kraju. Josefa zbladła. Tego się nie spodziewała.

— Zostaję wydalona z kraju? — powtórzyła przeciągle. — Na jakiej podstawie, alcalde?

— Za nawoływanie do buntu i zdradę stanu.

— Powiedział pan przecież sam, że jestem niewinna.

— To prawda, ale nie odnosi się to do pani ojca. A zresztą rozdawała seniorita swoje fotografie.

— Tylko wśród przyjaciół.

— Wszyscy ci przyjaciele są zdrajcami stanu. Krótko mówiąc, zawiadamiam panią, że w ciągu dwudziestu czterech godzin musi pani opuścić to miasto, w ciągu zaś tygodnia kraj.

Josefa omal nie zemdląła.

— Ależ nie mogę tego uczynić podczas nieobecności ojca! Czy on również jest skazany na banicję?

— Nie. Gdy go schwytamy, zostanie powieszony.

— Santa Madonna! Co za nieszczęście! A co się stanie z naszym majątkiem?

— Może go pani zabrać ze sobą.

— A służbę?

— To zależy od jej woli. Niech pani nie bierze całej sprawy zbyt tragicznie, seniorita. Niejeden już był z tego kraju wygnany i niejeden wrócił.

Indianka była świadkiem całej rozmowy. Kiedy alcalde oddalił się wraz z policjantem, rzekła z chytrym uśmieszkiem:

— Jaka pani mądra, seniorita!

— Nieprawdaż, Amaiko? Jest przekonany o mojej niewinności.

— Mężczyźni są często niebywale głupi. Ale czy pani naprawdę musi opuścić ten kraj?

— Może tak, może nie. Ojciec rozstrzygnie to dziś wieczorem.

— Czy ten wczorajszy posłaniec był od seniora Corteja?

— Tak, ojciec dziś wieczorem wróci do domu w przebraniu. Uważaj, aby nam nie przeszkadzano. Nie ma mnie dla nikogo.

Otrzymaany nakaz opuszczenia kraju wyprowadził jednak Josefę z równowagi. Czuliła się bezradna. Potrzebowała wsparcia ojca. Siedziała w swoim pokoju i czekała na niego z niecierpliwością.

Późnym wieczorem drzwi do pokoju otworzyły się cicho i wszedł jakiś obcy człowiek. Przestraszyła się bardzo, ale starała się panować nad sobą.

— Kim pan jest? Czego pan chce? — zapytała. Nieznajomy uklonił się i wymamrotał:

— Czy tu mieszka senior Cortejo?

— Tak jest. Ma pan do niego jakiś interes?

— Nie, chcę porozmawiać z panią.

— Ach tak! Ale w jaki sposób pan się tu dostał?

— Przez mur.

Josefa się przestraszyła. Przez mur mógł przecież przejść tylko złodziej lub przestępca.

— Dlaczego senior nie wszedł po prostu przez drzwi?

— Nie chciałem, aby mnie widziano. Teraz wiem, że ostrożność była zbyt uczynna. Nie poznano by mnie, bo ty sama uważasz mnie za obcego.

Zdjął perukę i sztuczną brodę.

— Ojcie! — zawołała i padła mu w objęcia.

Ucałował ją, a ona jego. Taka czułość była u nich rzadkością.

— Aleś się ucharakteryzował! Rzeczywiście nie poznałam!

— To było konieczne. Gdyby mnie zobaczono, byłbym zgubiony.

— Przybywasz od Pantery Południa?

— Tak. A co u ciebie słychać?

— Dotychczas wszystko było w porządku. Ale dziś po południu zjawił się alcalde i przeprowadził rewizję.

— Rewizję? Czy uważają, że jestem aż tak naiwny, by trzymać w domu kompromitujące materiały? Chyba nic nie znaleziono?

— Zupełnie nic. Wszystko zakopałam.

— W takim razie nie musimy się niczego obawiać, moja Josefo.

— Niezupełnie, zostałam skazana na banicję.

— Ach tak? Zapewne na rozkaz cesarza?

— Tak jest.

— To skutek moich dzisiejszych ulotek. Komedio! Jak daleko sięga moc Maksa? Wystarczy, abyś się udała tam, gdzie nie będzie cię mógł dosięgnąć. Zresztą opuścisz miasto jeszcze dzisiaj.

— Jeszcze dzisiaj? Dlaczego?

— Pojedziesz ze mną do hacjendy del Erina — powiedział obojętnym głosem, ale potem lekko się uśmiechnął.

Josefa zerwała się, jakby w nią piorun strzelił.

— Do hacjendy? Do starego Pabla Arbelleza? Czego mamy tam szukać? Przecież Arbellez jest naszym najbardziej zaciekle wrogiem.

— Właśnie dlatego cieszę się na te odwiedziny.

— Nie rozumiem.

— Wytłumaczę ci później. Daj mi coś do jedzenia i picia, tylko nie zdradź się przed nikim, że jestem w domu.

Josefa przyniosła posiłek. Cortejo jadł z apetytem. Kiedy się posilił, wrócił do przerwanej rozmowy.

— Czy goniec dotarł szczęśliwie? — zapytał.

— Tak. Od niego się dowiedziałam, że będziesz tu dzisiaj.

— Posłuchaj więc, dlaczego przybyłem do ciebie. Otrzymałem broń. Pantera Południa gotów uderzyć, ale rezultat jest wątpliwy, Francuzi bowiem mają wiele wojska. Trzeba ich

zaatakować z dwóch stron: z północy i z południa. Rozpocząłem werbunek, dlatego też ruszam na północ, aby zebrać ludzi.

— Ale dlaczego ja mam jechać z tobą?

— Jesteś mi potrzebna. Zresztą i tak musisz opuścić miasto.

— Po co udajemy się do hacjendy?

— Z racji jej korzystnego położenia. Czy wiesz, gdzie teraz przebywa Juarez?

— Powiadają, że w Paso del Norte.

— Tak jest w istocie. Muszę wkraść się w jego łaski. Dopiero wspólnymi siłami będziemy mogli stawić czoła Francuzom.

— Ależ ojczyźnie! Przecież chciałeś zostać prezydentem! Nie zostaniesz nim, jeżeli się sprzymierzysz z Juarezem.

— Głuptasie, wszystko się ułoży, byle bym tylko otrzymał pomoc.

— Rozumiem, później będzie się można pozbyć Juareza?

— Otóż to. Ponadto dowiedziałem się, że wysłannik rządu angielskiego jest w drodze do Juareza. Podobno wiezie dla niego broń, amunicję i pieniądze. Juarez chętnie mnie przyjmie.

— Ale gdy się dowie, że masz to, co było przeznaczone dla niego, co wtedy?

— Kto mu to powie? Ja z pewnością nie. A tylko ja wiem o tym.

— Gdzie się znajduje ten wysłannik?

— Wsiądzie na okręt w Refugio i popłynie górnym biegiem do Rio Grandę. Wtedy go napadnę. Zgadnij, kto to jest?

— Sam powiedz!

— Sir Dryden.

Josefa zerwała się z miejsca.

— Dryden? Ten sam, naprawdę ten sam?

— Tak, ten sam, któremu zrabowaliśmy miliony i który uwolnił Juareza z rąk Pantery Południa.

— Co za szczęśliwy przypadek! A więc mam pojechać nad Rio Grandę?

— Nie, Josefo, zostaniesz w hacjendzie del Erina.

— Czy Arbellez pozwoli mi na to?

— Będzie musiał. Czy sądzisz, że mu pozostawię hacjendę? — Cortejo wybuchnął pogardliwym śmiechem.

— Jest przecież właścicielem.

— Chwilowo. Zrobię z hacjendy nasz punkt operacyjny. Tam zbierać się będą werbowani przez nas ludzie. Stamtąd będę uderzał. Tam... czy wiesz? Tam znajduje się w pobliżu pieczara z królewskim skarbem.

— Chcesz zabrać skarb?!

— Tak, ale najpierw muszę znaleźć grootę. Słyszałem od Alfonsa, że Mikstekowie znają tajemnicę. Porwę paru z nich. Będę ich tak długo chłostał i dręczył, aż zdradzą kryjówkę. Gdy zdobędę te bogactwa, z łatwością dostanę koronę Meksyku.

— Chcesz kupić hacjendę od Arbelleza?

— Ani mi się śni. Po prostu ją zagarnę. Przed miastem czeka trzystu silnych, odważnych mężczyzn. Zwerbowałem ich. Z ich pomocą zajmę hacjendę. Jeżeli Arbellez będzie się bronił, zabijemy go.

— Świetnie, doskonale! A więc z tymi ludźmi mamy wyruszyć dziś wieczorem?

— Tak. Nie możemy tracić ani chwili.

— Co się stanie z naszym domem, z meblami?

— Pomyślałem o tym.

— Ojczy, muszę zabrać ze sobą Amaikę.

— Przeszkadzałyby nam.

— Potrzebna mi służąca.

— Będziesz się musiała obejść bez niej.

— Ależ, ojczy, to niemożliwe! Córka przyszłego króla nie może się obejść bez służby.

— Powiedziałaś „córka przyszłego króla”...

— Jedzie przecież trzystu mężczyzn, muszę odpowiednio wyglądać. Koniecznie potrzebuję służącą.

— W takim razie zostaniesz tu. W żadnym wypadku nie mogę zabrać Amaiki. Spakuj tymczasem rzeczy, ja zaś odpocznę. Punktualnie o północy ruszamy.

Cortejo mówił tonem tak stanowczym, że Josefa nie protestowała dłużej. Wypełniła polecenie ojca. W kilka minut po północy oddział składający się z trzystu mężczyzn i jednej kobiety pogalopował na północ.

POWRÓT MATAVASE

Po ucieczce z samotnej wyspy, na której przebywali osiemnaście lat, Sternau i jego towarzysze wylądowali w Guaymas. Postanowili przede wszystkim pojechać do hacjendy del Erina. Kapitanowi Wagnerowi polecono opłynąć na parowcu Cape Horn i zatrzymać się w Yeracruz; tam też czekać na dalsze dyspozycje.

W Guaymas dowiedzieli się, że Meksyk jest okupowany przez Francuzów, że szaleje tam wojna domowa i grasują bandy, które przeciągają przez kraj, mordując i paląc wszystko wokoło. Dlatego zaopatrzyli się w broń i nie ruszyli na wschód przez Sierra de Alamos, lecz na północny wschód wzdłuż rzeki Vaqui. Chcieli dostać się do Chihuahua, przypuszczali bowiem, że miasto to — wysunięte daleko na północ i odległe od stolicy — nie zostało jeszcze wciągnięte w wir politycznych i wojennych zamieszek. Nie wiedzieli, że Francuzi zajęli już Chihuahua. Przybywszy do La Yunty, tam gdzie rzeka rozgałęzia się, zamierzali więc ruszyć na wschód. Ale tu powiedziano im, że w Chihuahua toczą się walki, a prezydent Juarez cofnął się do Paso del Norte, aby zebrać siły do nowego uderzenia.

— Co teraz zrobimy? — martwił się don Fernando. — Przeszliśmy zbyt wiele, aby znowu się narażać na niebezpieczeństwo.

— Jestem przekonany, że ze strony Francuzów nic nam nie grozi

— powiedział Sternau — ale za to musimy wystrzegać się sprzyjających im Meksykanów, którzy na pewno będą ciągnąć za Francuzami.

Głos zabrał Niedźwiedzie Serce:

— Niechaj bracia moi nie jadą do Chihuahua, ale na pastwiska Apaczów. Stamtąd zostaną bezpiecznie zaprowadzeni do hacjendy.

— Czy pastwiska Apaczów leżą daleko od Chihuahua? — dopytywał się hrabia Fernando.

— Apacz potrzebuje jednego dnia, aby się dostać do miasta. Sternau potwierdził skinieniem głowy.

— Znam tę okolicę. Uważam, że należy pójść za radą naszego czerwonoskórego przyjaciela.

— O, tak! Jedźmy do Apaczów — poparła go Emma. — W tamtej okolicy jest fort Guadalupe. Mam tam krewnych, którzy z radością nas powitają. Właśnie od nich wracałam, gdy Niedźwiedzie Serce i Antonio wyratowali mnie z rąk Komanczów.

— Co to za krewni? — zapytał Sternau.

— Rodzina Pirmerów. Pirnero jest Niemcem, ożenionym z siostrą mego ojca.

— Doskonale! Znajdziemy więc dach nad głową.

Ruszył lewym brzegiem rzeki. Po pewnym czasie skręcili na prawo, w kierunku Sierra Carmen. Dotarłszy szczęśliwie do wzgórz, skierowali się ku Rio Conchos.

Karawana wyglądała okazale. Mieli doskonałe wierzchowce i silne muły. Zarówno mężczyźni, jak kobiety byli uzbrojeni, nie obawiali się więc napadu.

Opodal Rio Conchos trafili na trakt, prowadzący z Chihuahua do Paso del Norte. Nie należy słowa „trakt” brać dosłownie. Była to po prostu ścieżyna, ale musiał ją przebyć każdy, kto chciał się dostać z jednego miasta do drugiego. Z początku zamierzali jechać na skrót, zrezygnowali jednak z tego ze względu na bezpieczeństwo: wokół drogi rozciągały się pastwiska indiańskie. Sternau i Niedźwiedzie Serce wyprzedzili karawanę, aby mieć baczenie na wszelkie ślady. Właśnie przejeżdżali koło kępy zarośli, które tylko gdzieniegdzie rosły na prerii, gdy omal nie zderzyli się z jakimś jeźdźcem, który wyłonił się zza krzewów. I on, i oni gwałtownie osadzili konie.

Był niewysoki, ubrany jak traper, broń miał starą, dubeltówkę zardzewiałą. Mimo to robił wrażenie człowieka prerii, wspaniale bowiem siedział na koniu.

— Do pioruna! Kim jesteście? — zawołał po angielsku, chwytając dubeltówkę i przygotowując się do strzału.

Wszyscy, nie wykluczając Niedźwiedziego Serca i Bawolego Czoła, zaopatrzyli się w Guaymas w meksykańskie stroje, ponieważ innych nie można było dostać. Nieznajomy sądził więc zapewne, że są Meksykanami.

— Dzień dobry — powiedział Sternau również po angielsku. — Pyta pan, kim jesteśmy? To my, ponieważ jest nas dwóch, pierwsi powinniśmy zapytać, kim pan jest, senior.

Mały człowieczek zadarł głowę, aby spojrzeć na Sternaua. W jego twarzy nie było odrobiny lęku.

— Ma pan rację, senior — odparł. — Takie są prawa prerii. I ja je szanuję. Czy słyszeliście już kiedyś o Małym Andre?

— Nie.

— W takim razie nie pochodzicie z tych pięknych stron.

— Oczywiście, że nie.

— To wyjaśnia sprawę. Mały Andre to ja. Właściwie nazywam się Andreas Straubenberger.

— Straubenberger? — powtórzył Sternau. — Przecież to niemieckie nazwisko!

— Jestem Niemcem.

— Niech więc pan opuści strzelbę — powiedział po niemiecku. — I ja jestem Niemcem.

— Co za radość! — ucieszył się Mały Andre. — A skąd pan pochodzi?

— Z Moguncji.

— Z Moguncji? Niedaleko tego miasta mieszka mój brat.

— Gdzie?

— W małej dziurze zwanej Reinswalden.

— Czy to przypadkiem nie Ludwik Straubenberger? Traper aż podskoczył w siodło.

— Pan zna Ludwika?

— Doskonale!

— Do licha! A ja chciałem pana zabić!

— No, no, nie poszłoby tak łatwo — uśmiechnął się Sternau.

— Pan taki wysoki i szeroki, że nie mógłbym spudłować, nawet gdybym się starał!

Ale skąd i dokąd jedziecie?

— Przybywamy od morza, chcemy dostać się albo do Paso del Norte, albo do Guadalupe.

— Czy macie znajomych w Paso del Norte?

— Owszem. Juareza.

— A w Guadalupe?

— Niejakiego Pirnera.

— Poznałem go niedawno. To też Niemiec, Saksończyk z Pirny. A Juareza nie zastanie już pan w Paso del Norte.

— Gdzie jest?

— Tu. W górach.

Sternau przenikliwie spojrzał na rozmówcę.

— Pan zna to miejsce dokładnie, tylko nie chce mi pan powiedzieć.

— Przecież jeszcze nie wiem, kim pan jest!

— Nazywam się Sternau.

— Sternau? — Mały Andre namyślał się chwilę. — Chyba już kiedyś słyszałem to nazwisko. Ach tak! Wspominała mi je seniorita Rezedilla. Jakiś Sternau był przed laty w hacjendzie del Erina, później gdzieś zniknął.

— To ja nim jestem.

Traper aż otworzył usta ze zdumienia.

— Pan?! To niemożliwe!

— Dlaczego?

— Bo tamtego myśliwego wszyscy westmani i czerwonoskórzy nazywają Matavase, Władca Skał.

— Zgadza się.

— Ależ on... pan... — zaczął się plątać Mały Andre — zaginał!

— To prawda, lecz odnalazłem się.

— Nie do wiary! A razem z kim pan zaginał?

— Po co to panu?

— Niechże pan mówi! No, z kim?

— Aha, chce pan upewnić się, że mówię prawdę?

— Nie ukrywam, że tak. Byłby to istny cud, gdyby Władca Skał zjawił się tutaj.

— A więc dobrze. Ten obok mnie to wódz Apaczów Niedźwiedzie Serce. A tamci...

— Co to za ludzie, do pioruna? — przerwał Mały Andre na widok zbliżającej się karawany.

— Właśnie ci, z którymi zaginałem.

— Niech mnie licho porwie! — wykrzyknął Mały Andre.

— Ten, co jedzie na przedzie, to Bawole Czoło, wódz Miksteków.

— Do kroćset!

— Z nim jadą dwaj bracia. Jeden z nich jest zięciem właściciela hacjendy del Erina.

Zapewne nieraz słyszał pan o nim.

— Piorunowy Grot?

— Tak.

— A ten z kolei to Mariano...

— Zaczekaj pan, pohamuj się, na miłość boską! Zwariuję chyba! W najśmielszych marzeniach nie wyobrażałbym sobie takiego spotkania!

— Teraz już pan wierzy, że jestem prawdziwym Sternauem?

— Wierzę! Mam dla pana kilka ważnych wiadomości. Zeskoczyli z koni i usiedli na trawie. Wkrótce nadjechali towarzysze Sternaua.

— Kim jest ten człowiek? — spytał hrabia Fernando.

— To mój rodak. Nazywają go Małym Andre. Chce nam przekazać ważne informacje.

Postuchajmy go wszyscy. Czy zna pan hiszpański? — zwrócił się do Małego.

— Tak, trochę.

— Proszę więc mówić w tym języku, aby wszyscy rozumieli. A więc co ma nam pan do powiedzenia?

— Przede wszystkim to, że Juareza nie ma już w Paso del Norte. Jest niedaleko stąd. Chciałbym jednak wiedzieć, czy jesteście zwolennikami Francuzów czy Meksykanów.

— Ani tych, ani tamtych. Ja nigdy nie stałem po niczyjej stronie.

— Sytuacja przedstawia się następująco. Francuzi zajęli Chihuahua. Stamtąd wysłali trzy kompanie, aby zdobyły fort Guadalupe. Przeciwko Francuzom ciągnie Juarez na czele pięciuset Apaczów.

— Uff! — zawołał Niedźwiedzie Serce.

— Wodzem Apaczów jest Niedźwiedzie Oko.

— Kto to taki? — zapytał Indianin.

Nie mógł wiedzieć, że to jego brat, bo widział go po raz ostatni, gdy był on jeszcze małym chłopcem bez imienia. Indianin otrzymuje je dopiero wtedy, gdy zostaje wojownikiem.

Mały Andre wyjaśnił:

— Niedźwiedzie Serce ma brata, który podczas jego nieobecności wyrósł na dzielnego męża. Nazwał się Niedźwiedzim Okiem, ponieważ szukał swego brata, Niedźwiedziego Serca. Do tej pory nie zaprzestał poszukiwań.

— Uff!

W tym okrzyku było wszystko: szczęście, radość, duma. Nikt na świecie nie potrafił tak jak Indianin wyrazić ogromu uczucia w jednym, jedynym dźwięku.

Andre mówił dalej:

— Juarez rozporządza obecnie odpowiednimi środkami do prowadzenia walki. Stany Zjednoczone przysłały mu kilka milionów dolarów. Apacze przewieźli je przez kraj Komanczów i dostarczyli prezydentowi do Paso del Norte.

— Uff! — znów zawołał Niedźwiedzie Serce. — Czy mały biały człowiek był z nimi?

— Tak.

— Więc jest przyjacielem mego brata?

— Tak.

— Uff! W takim razie będzie i moim! Wyciągnął do niego rękę, a ten ją uściśnął.

— Kiedy Juarez otrzymał pieniądze, wyruszył natychmiast. Będzie walczył z Francuzami po drodze, potem pomaszeruje na Chihuahua. Ponieważ Francuzi wysłali z Chihuahua trzystu ludzi, miasto będzie musiało się poddać.

— Dlaczego nie pozostał pan przy Juarezie? — zapytał Sternau.

— Wysłał mnie na zwiady. Właściwie przeznaczył do tego Czarnego Gerarda, ale ten uprosił prezydenta, by pozwolił mu jechać do Guadalupe. Ma tam kogoś, kogo pragnie ochraniać.

— Kim jest Czarny Gerard?

— To sławny myśliwy. Z pochodzenia Francuz, ale bardzo przywiązany do przybranej ojczyzny.

— Powiada pan, że ten Gerard jest teraz w Guadalupe? Jak to daleko stąd? Dwa dni drogi?

— Mniej więcej. Pojutrze po południu możecie tam dotrzeć.

— Gdzie można znaleźć Juareza?

— Na południe od fortu, stamtąd idzie na Francuzów.

— Jeżeli więc ruszymy prosto ku Guadalupe, natrafimy na jego ślad?

— Bez wątpienia.

— Więc mam nadzieję, że się spotkamy u Juareza.

— Będę mu musiał złożyć raport. Radzę wam jednak spieszyć do fortu i ulokować tam panie. Trudno przewidzieć, jak rozwinie się sytuacja.

— Zapewne usłuchamy pańskiej rady. A teraz niech mi senior powie, jak się pan dostał do Ameryki? Brat nigdy o panu nie mówił.

— Jesteśmy skłóćeni.

— Dlaczego?

— Z powodu dziewczyny, kochaliśmy ją obaj. Brat wstąpił do wojska, korespondowaliśmy z początku ze sobą, ale i to się urwało.

— Czy jest pan żonaty?

— Nie. Porzuciła mnie. Niech diabli wezmą miłość! Ruszyłem w świat. Kiedy znalazłem się w Ameryce, podjąłem pracę w browarze. Ale nie szło mi. Zostałem więc myśliwym. Oto całe moje życie. No, pora już na mnie. I tak zmitrężyłem sporo czasu.

Kiedy szykował konia do drogi, Emma zdążyła go jeszcze wypytać o swych krewnych w Guadalupe. Gdy żegnał się z nimi, mieli wrażenie, że rozstają się ze starym znajomym. Ledwo znikł za horyzontem, dosiedli koni.

— Musimy się spieszyć — ponaglał Sternau — jeżeli chcemy za dnia znaleźć ślady Apaczów. Wtedy dopiero będziemy mogli odpocząć. Ruszajmy galopem!

Niedźwiedzie Serce jechał na czele, najlepiej bowiem znał okolicę. O pierwszej urządzono krótki popas. Gdy wierzchowce trochę wypoczęły, popędzono je z tą samą

szybkością. Konie meksykańskie są bardzo mocne i długo wytrzymują nawet pełny galop. Toteż wieczorem następnego dnia karawana dotarła już do gór Tamises.

Z daleka ujrzeli przełęcz. W pewnym momencie Niedźwiedzie Serce zatrzymał konia i skierował wzrok ku ziemi.

— Uff! — zawołał.

Sternau podjechał do niego i zaczął uważnie przyglądać się trawie. Była wydeptana.

— To ścieżka Apaczów — powiedział.

— Tędy jechali konno nasi wojownicy — potwierdził Niedźwiedzie Serce.

— Co zrobi mój brat? — zapytał westman.

— Pójdzie za głosem serca — odparł wódz, spiął konia i pomknął w kierunku południowym.

— Dokąd on jedzie? — zaniepokoił się hrabia Fernando.

— Śladem swych braci Apaczów. Do fortu trafimy bez niego. Najpierw jednak musimy znaleźć miejsce na nocleg.

— A co będzie z Niedźwiedzim Sercem?

— Niech się senior nie boi o niego, na pewno nas odnajdzie.

O świcie ruszyli w dalszą drogę. Wstawał przepiękny dzień. Niebo było bez chmurki, a w blasku wschodzącego słońca tysiące kropel rosy, osiadłej na źdźbłach i liściach, lśniły jak kryształy.

Senior Pirnero wstał wcześniej. Piękna pogoda zachęciła go do spaceru. Minąwszy krótką uliczkę, wyszedł za bramę fortu i przyglądał się falom Rio Grandę. Gdy się tak rozkoszował cudnym porankiem, zauważył nagle na migocącej wodzie jakiś mały, wolno zbliżający się punkt.

— Łódź — mruknął do siebie.

Czekał, aż się zbliży. Z każdą chwilą zdumienie jego rosło. Nie tylko dlatego, że łódź płynęła z wielką szybkością.

— Takiego czółna — mruczał — używają tylko Indianie i traperzy. Kto to może być? Przecież kierowanie nim to nie lada sztuka!

Człowiek w canoe podpłynął już na tyle blisko, że ujrzął Pirnera. Skierował łódź do brzegu. Po chwili wyskoczył i zacumował. Ubrany był w stare, podarte spodnie i kamizelkę bez guzików. Nie miał koszuli, pierś więc i potężne ramiona świeciły nagością. Pogrzebawszy w jakimś worku, wyciągnął z niego i wdział na siebie skórzaną kurtkę myśliwską, tak zniszczoną i zbutwiałą, jakby lata całe leżała w wodzie, a potem coś, co przypominało kapelusz. Za jego pasem tkwiły dwa rewolwery, nóż, tomahawk, torebka z tytoniem,

ładwonice na kule i kilka innych drobiazgów. Wreszcie wyjął z łodzi strzelbę i wziął ją w rękę z wielką troskliwością. Odwrócił się. Pirnero zobaczył twarz chudą, jakby wysmaganą od wiatru, słońca i niepogody, małe szare, bystre oczy oraz długi, olbrzymi nos, podobny do sępiego dzioba. Twarz ta mimo wszystko budziła zaufanie.

— Good morning! — rzekł przybysz.

— Dzień dobry! — odkłonił się Pirnero.

— Według moich kalkulacji jest to fort Guadalupe, prawda?

— Tak.

— Dużo tu wojska?

— Nie ma wcale.

— Doskonale. Czy znajdę tu boarding-house? — (pensjonat).

— Tak. Trzeci budynek za bramą. — Pirnero wymienił swoją gospodę.

— Dziękuję, sir.

— Przeszedł obok Pirnera i skierował się do bramy. Szedł wolno, kroki jednak stawił długie, zwyczajem dobrych westmanów. Wytrzymują oni najdalsze, najbardziej męczące piesze wędrówki.

— Jankes — mruknął Pirnero.

Nie mylił się. Sposób przywitania, pytanie o boarding, wyrażenie „według moich kalkulacji” nie mogły budzić wątpliwości, że przybysz jest Jankesem. Podczas gdy Europejczyk powiada: „Przypuszczam, mam wrażenie, zdaje mi się”, Amerykanin ze Stanów Północnych mówi: „I calculate — według moich kalkulacji, według moich obliczeń”.

Gdy Pirnero wrócił do gospody, zastał nieznanego nad szklanką wina. Usiadł na swym zwykłym miejscu i zaczął patrzeć przez okno. W izbie panowała cisza. Przerывało ją tylko głośne odchrząkiwanie gościa. Jankesi namiętnie żują tytoń, nie zważając na to, czy się to komuś podoba, czy nie. Pirnero bardzo był ciekaw, kim jest przybysz. Rozpoczął więc rozmowę swoją stereotypową uwagą:

— Śliczna pogoda!

W odpowiedzi usłyszał niezrozumiałe mruknięcie. I znów zapadło milczenie.

— Wspaniała pogoda — powtórzył po chwili.

— Ehm, ehm — kaszlnął nieznanomy. Pirnero odwrócił się i zapytał:

— Coś pan mówił, senior?

— Nie, to pan mówi.

Odpowiedź ta zbiła z tropu Pirnera. Zaczął bębnić palcami po szybie. Długo tak jednak nie wytrzymał i odezwał się znowu:

— Dziś jest o wiele ładniej niż wczoraj.

— Pfftf! — gość splunął głośno. Gospodarz spojrzał na niego z wymówką: — Nie zrozumiałem pana.

Jankes przesunął w ustach porcję tytoniu z lewej strony na prawą, a potem splunął tak celnie, że żółta od tytoniu ślina strzeliła ponad stołem jak z sikawki i poleciała w kierunku okna.

Pirnero przerażony odsunął się od niego.

— Senior — zawołał — tam, obok szafy, stoi spluwaczka!

— Nie potrzebuję żadnej spluwaczki!

— Wyobrażam sobie! Kto pluje przez okno, temu niepotrzebna spluwaczka. Ale u nas nie ma zwyczaju opluwania szyb.

— Otwórz więc pan okno.

Powiedział to tak spokojnie, że gospodarz aż poczerwieniał ze złości. Opanował się jednak i zapytał:

— Przybywa pan z daleka?

— Tak.

— Czy jest senior wioślarzem?

— Skąd to przypuszczenie?

— No, bo płynął pan przeciw prądowi.

— Phi!

— Skąd pan wyruszył?

— Czy wiadomość ta jest panu koniecznie potrzebna? Pirnero odparł z pewnym zakłopotaniem:

— Człowiek rad by przecież wiedzieć, z kim ma do czynienia.

— Pfftf!

Nieznamy splunął znowu. I znowu ciemne pasemko śliny przeleciało nad głową Pirnera.

— Pfftf! — rozległo się w ślad za tym.

— Do diabła! Uważaj pan! — zawołał gospodarz.

— Niech się pan odsunie, a wszystko będzie w porządku. Pirnero otworzył okno na oścież, a swoje krzesło przysunął do

ściany, na której wisiał miedzioryt. Miał nadzieję, że teraz przestanie już być opluwany.

Minęła minuta, może dwie. Jankes żuł tytoń i popijał wino. Ponieważ milczał w dalszym ciągu, Pirnero znów zwrócił się do niego:

— Czy celem pańskiej podróży jest nasz fort?

— Być może.

— Czy zostanie pan tutaj?

— To wedle moich kalkulacji wątpliwe.

— Pytam, czy zostanie senior przez dzień dzisiejszy?

— Zostanę.

— Chce pan tu kogoś odwiedzić?

— Hm...

— Ma pan jakiś specjalny interes?

— Pffttf! — zamiast odpowiedzi plunął z taką precyzją, że trafił prosto w miedzioryt wiszący nad głową Pirnera.

Tego było już gospodarzowi za wiele. Zerwał się z krzesła i zawołał wściekły:

— To niesłychane, senior! Niszczy mi pan mój piękny miedzioryt!

— Zabierz go, senior.

— Pluj pan do kieszeni.

— Jeżeli mi senior otworzy swoją, chętnie.

— Czy to ma być odpowiedź na moje pytania?

— Tak jest. Pluję zawsze na impertynentów. Niech pan to sobie zapamięta.

— Wie pan, kto to jest grubianin?

— Nie.

— W takim razie poinformuję pana.

— Niech się senior nie trudzi, to nic nie pomoże. Dość mam pańskich wścibskich pytań. Jeżeli będę chciał dowiedzieć się czegoś, sam będę pytał. Lepiej pan zrobi, jeśli mi należy jeszcze jedną porcję!

Gospodarz usłużnie spełnił prośbę. Stawiając szklanekę na stole, zapytał:

— Czy zostanie pan u mnie na noc? Chyba to wolno mi wiedzieć?

— Jeszcze się namyślę. Czy będę tu bezpieczny?

— Przed kim?

— Na przykład przed Indianami.

— Najzupełniej.

— A przed Meksykanami?

— Również.

— A Francuzi nie będą mnie niepokoić?

— Ach, senior, czy jest pan również ich wrogiem?

— Nic panu do tego! Czy nie wie senior, gdzie przebywa Juarez?

— Mam wrażenie, że w Paso del Norte.

— Ma pan tylko wrażenie, czy jest pan pewien?

— Pewny nie jestem.

— Jak daleko stąd do Paso del Norte?

— Konno jedzie się około sześćdziesięciu godzin. Chce się senior tam udać?

— Być może.

— Ach, senior! Jedzie więc pan z tajną misją do prezydenta?

— Pffttf!

Znowu tuż nad głową Pirnera przeleciała porcja ciemnej śliny. Przerażony zerwał się z krzesła.

— Do kroćset! — zaklął. — Mam już tego dosyć! Nie jestem do takiego traktowania przyzwyczajony, pochodzę ze starego, dobrego rodu. Czy wie pan, gdzie moja ojczyzna?

— No?

— W Niemczech. Urodziłem się w Pirnie.

— W Pirnie? Nie znam. To zapewne gdzieś za biegunem północnym?

— Nie, to miasto w Saksonii.

— Nic mnie ta Saksonia nie obchodzi. Zostaję dziś u pana na noc.

— Nie zostanie senior. Nie podoba mi się pan, i basta!

— Za to pan mi się podoba, a więc jesteśmy skwitowani.

— Nic mi tu po człowieku, który tylko pluć potrafi.

— Wolałby pan kogoś, kto pluje celniej? Według moich obliczeń, można by znaleźć takiego jegomościa.

— Nie, nie chcę pana u siebie! Niech senior idzie tam, gdzie będzie mógł pluć do woli. Popatrz na okno i miedzioryt. To moja stara pamiątka. Jak wyglądają? Nie pozwolę, zrozumiano?

— Nie.

— W takim razie powiem krótko: jeżeli w tej chwili nie wyjdzie pan z gospody, wyrzucę go na zbity pysk!

Pirnero wpadł w szewską pasję. Stał przed nieznanym z zaciśniętymi pięściami, jak gdyby za chwilę miał się rzucić na niego.

— Pffttf! Pffttf! — przybysz znowu plunął w jego kierunku.

— Co? Jeszcze i to?! — krzyknął Pirnero. — Wynoś się natychmiast, inaczej nie ręczę za siebie!

— Phi! — rzekł spokojnie gość. — Niech senior nie hałasuje, inaczej plunę tak, że wyleci pan przez okno na ulicę. To moja rzecz, nie pańska, czy zostanę tutaj, czy nie. Całą noc wiosłowałem i jestem zmęczony. Będę teraz spał przez godzinę.

Położył obok siebie strzelbę i wyciągnął się na ławie stojącej pod ścianą. Pirnero pienił się nadal:

— Nie pozwalam! Niech pan śpi, u kogo chce, tylko nie u mnie. Nie dotknę pana, ale zawołam ludzi. Oni już panu pokażą, kto tu jest panem.

Jankes wyciągnął zza pasa rewolwer.

— Niech pan robi, co chce, ale ostrzegam: każdego, kto się zbliży do mnie, zastrzelę jak psa.

Słowa te podziały na gospodarza. Chwilę medytował, w końcu zaś burknął:

— Hm, niebezpieczna z pana sztuka. Dobrze, śpij pan godzinę. Mam nadzieję, że przez sen pluć nie będziesz.

— Jeżeli mi się nie przyśni, że mnie o coś wypytują.

Włożył za pas rewolwer i przewrócił się na bok. Po kilku sekundach zasnął. Musiał być rzeczywiście bardzo zmęczony.

Pirnero cały był zlany potem. Wziął szklaneczkę julepu i chciał znowu usiąść przy oknie, gdy na ulicy rozległ się odgłos kopyt końskich. Jakiś człowiek zeskoczył z konia, uwiązał go przy płocie i wszedł do zajazdu.

Był to mężczyzna niemłody, lecz czerstwy jeszcze, ubrany w piękny, odświętny strój vaquera. Usiadł, kazał podać sobie szklanekę whisky i zaczął badawczo przyglądać się gospodarzowi. Pirnero nie zauważył tego, siedział bowiem przy oknie, tyłem do niego. Zastanawiał się, czy vaquero nie jest również amatorem plucia. Ponieważ jednak nic się nie działo, zdobył się na głębokie spostrzeżenie:

— Śliczna pogoda!

— To prawda — przytaknął vaquero.

Twarz gospodarza rozjaśniła się, odwrócił się i rzekł przyjaźnie:

— Zwłaszcza do konnej jazdy.

— Jechałem przez całą noc.

— Czy jest pan posłańcem?

— Mniej więcej. Muszę coś tutaj załatwić. Czy pan to senior Pirnero?

— Tak.

— A czy zastałem Rezedillę?

— Oczywiście. Zna ją pan?

— Nie, ale przyjechałem właśnie do niej z hacjendy del Erina.

— Przysyła pana Pedro Arbellez, mój szwagier?

— Tak. Służę u niego. Nazywam się Anselmo.

— A to ci niespodzianka! Biegnę po córkę! Zapomniawszy zupełnie o niedawnym gniewie, pośpieszył do
kuchni.

— Rezedillo! — zawołał. — Przyjechał vaquero twego wuja z hacjendy del Erina. Ma do ciebie jakąś sprawę. Był w drodze całą noc. Chodźmy do niego!

Dziewczyna podała Anselmowi rękę.

— Na pewno pan zmęczony — powiedziała. — Niech pan najpierw coś zje i odpocznie.

— Dziękuję, seniorka. Ale później. Przede wszystkim wyłożę, po co tu jestem. Pan mój jest już stary i nie ma dzieci. Seniorka Emma zaginęła przed laty. Wszystko wskazuje, że nie żyje. Ta tragedia spowodowała, że mój pan postarzał się jeszcze bardziej. Wiecie państwo zapewne, że hacjenda nie należy już do hrabiego Rodrigandy?

— Wiemy, hrabia podarował ją szwagrowi.

— Pan mój mówi, że umrze wkrótce i...

— Mam nadzieję, że jeszcze długo żyć będzie — przerwał Pirnero serdecznym tonem.

— Ja też w to wierzę, ale nic dziwnego, że w takim wieku i w takich czasach jak obecnie, senior Arbellez myśli o śmierci. Własnego dziecka już nie ma, postanowił więc swoim dziedzicem, a raczej dziedziczką uczynić senioritę Rezedillę.

Dziewczyna opuściła głowę. Kochała wuja szczerze i bardzo mu współczuła.

— Nie traćmy nadziei — rzekła po chwili — że Emma wróci.

— Pan mój przestał w to wierzyć, dlatego pani przeznaczył dziedzictwo. I jeszcze chciałby, powiedział, zobaczyć panią przed śmiercią.

— To dlatego pan tu przyjechał?

— Tak. Mam prosić senioritę, aby jak najprędzej przyjechała do hacjendy. Ponadto pan kazał mi oddać ten oto list.

Wyciągnął z kurtki kwadratowy kawałek skóry, w który owinięty był papier. Pirnero chciał natychmiast czytać, ale Rezedilla poprosiła:

— Nie tutaj, ojczu. Wyjdźmy, takie listy czyta się bez świadków. Gdy po chwili wrócili, dziewczyna miała oczy zaczerwienione od

łez, a i Pirnero był głęboko wzruszony.

— Co państwo postanowili? — spytał Anselmo.

— Trudno tak od razu odpowiedzieć. Przecież wokół wojna...

— Uważacie, że seniorka Rezedilla naraziłaby się na niebezpieczeństwo w drodze do hacjendy? Pan mój wystara się o żelazny list, który Francuzi na pewno będą respektować.

— A Indianie?

— Senior Arbellez wyśle spory oddział vaquerów, który będzie dostateczną ochroną dla seniority.

— To oczywiście zmniejsza ryzyko, ale jednak... — zastanawiał się Pirnero. — Jak długo senior może pozostać w Guadalupe?

— Do jutra.

— Rano więc damy panu ostateczną odpowiedź i list do szwagra. Teraz niech senior nakarmi konia, a ja tymczasem przygotuję panu posiłek.

Anselmo wyszedł. Rezedilla pośpieszyła do kuchni, Pirnero zaś usiadł przy oknie i zaczął rozmyślać nad tym, co przed chwilą usłyszał.

Niedługo to trwało. Po chwili bowiem zjawił się przed domem nowy jeździec, zeskoczył z konia i wszedł do gospody.

Był to Czarny Gerard.

— Ach, senior Gerard? — ucieszył się Pirnero, wstając z krzesła. — Chwała Bogu! Rezedilla i ja lękaliśmy się już o pana.

— Pan także? — uśmiechnął się Gerard. — Jakże to? Piję tylko jedną porcję julepu...

— Wolne żarty, senior! Wtedy nie wiedziałem, kim pan jest. Teraz witam jak najserdeczniej, choćby senior nie miał zamiaru wypić nawet jednego julepu. Zaraz zawołam Rezedillę.

Zanim wyszedł z izby, wbiegła do niej rozpromieniona dziewczyna. Usłyszała głos Gerarda i czym prędzej spieszyła go przywitać.

— Och, senior! — zawołała. — Martwiłam się i niepokoїłam o pana! Dzięki Bogu, że wraca pan zdrów i cały!

— Tak, dzięki Bogu! Ale co będzie jutro i pojutrze? Wszystkim nam grozi wielkie niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo? — powtórzył Pirnero. — Mówi pan serio, senior Gerard?

— Niestety, tak. Francuzi są w drodze do fortu.

Rezedilla zbladła. Pirnero załamał ręce i wykrzyknął przerażony.

— Mój Boże! Kiedy mogą tu być?

— Nie wiem.

— W każdym razie trzeba pakować manatki i ładować na konie. Uciekniemy do Juareza!

— Po co ten pośpiech? — próbował perswadować Czarny Gerard. — Jeszcze tak źle nie jest. A gdyby nawet Francuzi zdobyli fort, uszanują mieszkańców miasta, aby w tym ważnym dla nich punkcie strategicznym nie mieć przeciwko sobie całej ludności. Zresztą, odsiecz już w drodze.

— Jaka odsiecz?

— Juarez.

— Sam prezydent? Naprawdę?

— Towarzyszy mu pięciuset Apaczów.

— W takim razie jesteśmy uratowani.

— To z kolei przedwczesna radość. Juarez nie wie dokładnie, którędy idą wojska nieprzyjaciela. Z pewnością odnajdzie ślady Francuzów, ale być może, nie uda mu się ich wyprzedzić. W takim przypadku trzeba będzie zatrzymać wrogów przed fortem, dopóki nie nadciągnie Juarez z Apaczami.

— Uważa więc pan, że musimy bronić fortu? Ale któż, na Boga, ma to zrobić? Nie mamy wojska.

— Wszyscy jak jeden mąż przystąpimy do obrony. I pan także, senior Pirnero.

Twarz gospodarza się wydłużyła.

— Ja mam strzelać, zabijać ludzi? O, nie! Do tego nikt mnie nie zmusi, tego nie nauczyłem się w Firnie! Kto w Saksonii zabija Francuzów, ten zostaje skazany na śmierć lub w najlepszym razie na dożywotnie więzienie. Bywa nawet, że w wyroku są aż trzy kary: śmierci, dziesięciu lat więzienia i pięciu utraty praw obywatelskich, nie licząc dozoru policyjnego.

— Zdarza się to nie tylko w Saksonii — uśmiechnął się Gerard, chociaż tych surowych kar trochę za wiele jak na jednego człowieka.

— Krótko mówiąc, nie będę strzelał.

— W takim razie pana zastrzelą. Pirnero zbladł.

— Przybyłem tu w imieniu Juareza. Prezydent rozkazuje, aby wszyscy mieszkańcy zbroili się i przygotowywali do odparcia wroga. Właśnie przekazałem ten rozkaz w magistracie. Alcalde chodzi z nim od domu do domu. Wam zaś sam przynoszę tę wiadomość.

— Ależ, senior, odkąd mnie matka na świat wydała, nawet zającą nie zabiłem!

— Tacy ludzie są w ogóle niepotrzebni na świecie! — rozległ się głos z kąta.

Gerard odwrócił się. Dopiero teraz zauważył nieznanego. Zbudziła go rozmowa i przysłuchiwał się jej już od pewnego czasu. Teraz usiadł na ławie i rozglądał się obojętnym wzrokiem. Gerard przyjrzał mu się dokładnie, potem podszedł i grzecznie się uklonił.

— Senior, mogę zapytać, kim pan jest?

— Tak.

Powiedziawszy to, wypluł na stół trochę tytoniu, który nawet we śnie trzymał w ustach, wyciągnął z kieszeni nową porcję i zaczął żuć.

— A więc pańskie nazwisko?

— Pytał pan tylko, czy mu wolno zapytać, kim jestem. Zgodziłem się na to, lecz nie przyrzekłem, że odpowiem.

— W takim razie niech pan nie wtrąca się do rozmowy.

— A jeżeli ona mnie interesuje?

— To wtedy mnie z kolei interesuje pańska osoba. Nieznajomy pokiwał głową, wciąż żując tytoń.

— Kalkuluje sobie i mam wrażenie nie bez racji, że zanim wymienię swoje nazwisko, powinienem poznać pańskie. Powiedział pan, że przysłała go Juarez?

— Tak.

— Zna go pan, był u niego, wie, gdzie go można znaleźć?

— Wiem.

— Jest pan jego stronnikiem? Nie stoi po stronie tych przeklętych Francuzów?

— Zgadza się.

— No to powiedz mi wreszcie, senior, kim jesteś.

— Dobrze. Nazywają mnie Czarnym Gerardem.

— Słyszałem o panu. Witam, uściśnijmy się. Gerard zawahał się.

— Wydaje mi się, że senior jest bardzo grymaśny przy zawieraniu znajomości. Ja również nie każdemu podaję rękę. Powiedziałem panu swoje nazwisko, chcę znać pańskie.

— O mały włos, a zapomniałbym o tym — nieznajomy uśmiechnął się po raz pierwszy. — Moje nazwisko nic panu nie powie, bo, prawdę mówiąc, i mnie wywietrzało z głowy. Czerwonoskórzy ochrzcili mnie imieniem, które zapewne obilo się panu o uszy. Nie jest zbyt piękne, ale cóż robić? Może pan zgadnie? Przyjrzyj mi się dobrze, mister Gerard.

— To chyba na nic się nie zda. Mogę tylko stwierdzić, że jest pan Amerykaninem.

— Chciał pan powiedzieć Jankesem? Tak, to prawda. Ale pan przygląda mi się od stóp do głów. To źle. Niech pan raczej przypatrzy się mojej gębie.

Gerard patrzył, patrzył i nic nie mógł zmiarkować.

— Jeszcze pan nie zgadł? W takim razie ułatwię to panu. Wystarczy popatrzeć tylko na mój nos. Jak się panu podoba?

— No, wcale pokąźny.

— Tak pan uważa? Do jakiego gatunku nosów zaliczyć można ten okaz?

— Powiedzieć orli, to za mało — roześmiał się Gerard. — A może to nos sępi? Do diabła! Zgaduję!

— No...

— Boję się, że pana obrażę.

— Mnie obrazić? Głupstwo! Ci przekłęci czerwonoskórzy dali mi imię ze względu na nos. Zatrzymam je na wieki. No więc, kim jestem?

— Jeżeli się nie mylę, jest pan jednym z najbardziej znanych traperów w Ameryce. Z prawdziwą radością uścisknę pańską dłoń, senior.

— Niech pan zostawi seniora! Wymień moje imię.

— Nazywają pana Sępi Dziobem, czy tak?

— Nareszcie! Tak, ja jestem tym człowiekiem, który obnosi po świecie to przepiękne imię. Czy i teraz nie podasz mi łapy?

— O, przeciwnie! Oto ona. Co pana sprowadza do fortu?

— Pomówimy o tym później. Na razie niech panu wystarczy to, że szukam Juareza. Zajmijmy się sprawą obrony frontu. Czy Francuzi istotnie nadchodzą?

— Niestety, tak.

— Juarez idzie w ślad za nimi?

— Może za nimi, a może naprzeciw nich.

— Powierzył panu obronę Guadalupe?

— Tak. Pisemny rozkaz leży u sędziego.

— W takim razie wszyscy musimy pana słuchać. Pan też — zwrócił się do Pirnera. — Ale, jak słyszałem, nie chciał senior zabić ani jednego Francuza?

— Nie chcę, nie potrafię — biadał zapytany.

— Ale wyrzucać gości pan umie! No, nie mówmy już o tym. Leż sobie, senior, spokojnie na materacu i żuj wianki mirtowe. Ja pana wyręcę.

Pirnero chwycił go za rękę i potrząsnął nią uradowany.

— Dziękuję, senior! Naprawdę chce pan za mnie walczyć?

— Tak.

— No to może pan sobie pluć, ile mu się podoba.

Rezedilla przerażona przysłuchiwała się rozmowie. Bała się bardzo Francuzów. Teraz podeszła do Gerarda. Nie zdążyła jednak zamienić z nim nawet słowa, bo nagle z ulicy dobiegł tętent kopyt. Przed domem zatrzymało się kilku jeźdźców.

— Kto to?! — zawołał Pirnero. — Chyba nie Francuzi? Gerard podszedł do okna.

— Nie, sądząc po ubiorach, to Meksykanie.

— Ilu ich jest? Cała gromadka? Rezedillo, będzie robota! — zatarł ręce z zadowolenia.

Goście weszli do gospody. Był to Sternau z przyjaciółmi. Rezedilla, Pirnero i Gerard patrzyli na nich z ciekawością. Szczególnie zaintrygował ich doktor ze swoją długą brodą, która urosła mu na wyspie, stary hrabia, a także obie panie, tym bardziej, że nosiły gęste woalki.

Wyglądali tak dostojnie, że Pirnero złożył im głęboki ukłon. Gerard i Sępi Dziób usunęli się w kąt izby.

— Senior tu jest gospodarzem? — zapytał Sternau.

— Tak, panie.

— Czy ma senior dosyć miejsca na przyjęcie nas wszystkich?

— Ach, pokojów mam pod dostatkiem.

— A pomieszczenie dla koni?

— Są stajnie. Nie jestem tylko pewien, czy państwo u mnie pozostaniecie. Czuję się bowiem w obowiązku uprzedzić was o niebezpieczeństwie, jakie grozi miastu. Francuzi mają lada dzień napaść na fort.

— Skąd o tym wiecie?

— Juarez wysłał do nas tego oto seniora — wskazał na Gerarda. — Ma on dowodzić obroną fortu, dopóki nie przybędą Apacze.

Sternau spojrzał na Czarnego Gerarda, rozmawiającego z Sępi Dziobem, i twarz jego rozjaśniła się.

— Jak ten pan się nazywa?

— Czarny Gerard.

Doktor podszedł do obu mężczyzn i kłaniając się uprzejmie, powiedział przyjaźnie:

— Jeżeli się nie mylę, widzę przed sobą ludzi, którzy nie boją się Francuzów i chcą bronić fortu.

— Z czego pan to wnosi?

— Jestem przekonany, że Sępi Dziób nie cofnie się przed żadnym wrogiem.

— Pan mnie zna? — zdumiał się Jankes.

— Z dawnych lat, z czasów pańskiej pierwszej wyprawy traperskiej. Takiej twarzy nie zapomina się nigdy. Czy poczyniono już przygotowania do obrony fortu?

— Prawie żadnych — odparł Gerard.

— W takim razie trzeba się spieszyć. Nie zamierzacie chyba oczekiwać Francuzów w polu?

— Na to jesteśmy za słabi.

— A więc należy wzmocnić szańce?

— Tak.

— Kto będzie bronił fortu?

— Możecie liczyć i na nas.

— Naprawdę chcecie walczyć razem z nami?

— Jeżeli to potrzebne, tak.

Gerard nie zdążył podziękować, gdy nagle rozległ się głośny okrzyk.

— Bawole Czoło!

To vaquero z hacjendy del Erina otworzywszy drzwi kuchenne, by zobaczyć przybyłych, stanął w osłupieniu, ujrawszy wodza Miksteków.

Na dźwięk tego imienia Gerard i Jankes zerwali się z miejsc. Wódz zaczął badawczo przyglądać się vaquerowi. Poznał go wreszcie, mimo iż od chwili, kiedy go widział po raz ostatni, upłynęło wiele lat.

— Anselmo! — zawołał.

— Santa Madonna! A więc naprawdę Bawole Czoło? — vaquero podszedł do Indianina z wyciągniętymi rękami.

— Tak, to ja! — potwierdził wódz z powagą.

— Mówiono, że zginęliście!

— Bawole Czoło żyje.

— A pozostali?

— Również żyją.

— O Boże! — krzyknęła Rezedilla. Dotknąwszy ramienia wodza, zapytała: — To pan... Bawole Czoło, wódz Miksteków?

— Tak, to ja — powtórzył Indianin spokojnym głosem.

— To jakiś cud! Ojcie, ten człowiek jest Bawolim Czołem! Zaginął swego czasu wraz z Emmą i jeszcze kilkoma osobami. Ale czy ja dobrze zrozumiałam? Pozostali żyją również?

— Wszyscy żyją.

— I Emma Arbellez, i Karia Indianka?

— Tak.

— Anselmo od kilkudziesięciu sekund przyglądał się Sternauowi.

— Nie do wiary! — zawołał wreszcie. — To senior Sternau! Ach, senior Sternau! — podbiegł do doktora i długo ścisnął jego rękę.

— A więc i mnie poznałeś, Anselmo?

— Jakże mógłbym nie poznać zbawcy i dobroczyńcy całej Eriny! Rezedilla także podeszła do Sternaua.

— To pan jest owym legendarnym seniorem Sternauem? Skinął głową.

— Do pioruna, Sternau, Władca Skał! Dlatego mnie poznał! — Sępi Dziób plunął potężnie w kierunku ławek.

— Matavase! — zawołał Gerard.

— Senior — Rezedilla ujęła dłoń doktora. — Widząc pana wierzę, że i inni żyją. Gdzie są? Mów, na Boga!

Zatoczył ręką koło.

— Droga pani, oto oni. Nie brak nikogo.

Emma podniosła welon. Utyła nieco, lecz niezbyt się postarzała. Rezedilla poznała ją od razu.

— Emmo, Emmo!

— Rezedillo!

Z łkaniem padły sobie w objęcia.

— Czy ojciec mój żyje?

— Żyje.

Emma wypuściła przyjaciółkę z objęć, uklękła i podnosząc ręce, wybuchnęła płaczem:

— Boże mój, dzięki ci, dzięki! Wszyscy obecni mieli oczy pełne łez.

— Właśnie przed chwilą otrzymaliśmy list od wuja — powiedziała Rezedilla z trudem opanowawszy wzruszenie. — Przeczytasz go później, droga Emmo.

Schyliła się nad kuzynką i podniosła ją z podłogi.

— Czy nie chcesz przywitać się z moim ojcem?

Zaczęto rozglądać się za Pirnerem. Chcąc ukryć łzy, podszedł do ulubionego okna i wychylił się przez nie całą połową ciała. Córka ledwo wciągnęła go do izby. Płakał jak bóbr i obejmując Emmę, powtarzał w kółko:

— Puście mnie, uduszę się z radości! Wreszcie wybiegł z gospody.

— Przedstaw mnie pozostałym panom — poprosiła Rezedilla. Emma otarła chustką oczy i zapytała:

— Kogo chcesz naprzód poznać?

— Twego narzeczonego, seniora Ungera. Emma uśmiechnęła się filuternie:

— Szukaj go! Jestem ciekawa, czy znajdziesz.

Rezedilla przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Po chwili rzekła, wskazując na Mariana:

— To ten.

— Nie zgadłaś. To Alfonso de Rodri... Chciałam powiedzieć, porucznik de Lautreville.

— Mariano de Lautreville? — zainteresował się Sępi Dziób.

— Tak — odparł Mariano. — Zna mnie pan? Jankes zbliżył się do niego.

— Nie, ale zapamiętałam pańskie imię. Wymienił je kiedyś pewien Anglik.

— Anglik? — powtórzył z niedowierzaniem Mariano.

— Lord Dryden.

— Gdzie go pan widział? W Anglii?

— Nie, w Ameryce. W Refugio. Przed kilkoma dniami.

— Na Boga, jest tu w Meksyku? Co robi w Refugio?

— To właściwie tajemnica, ale wobec okoliczności jakie zaszły, wolno mi, a właściwie muszę powiedzieć całą prawdę. Lordowi polecono mnie jako przewodnika. Przyjechał do Meksyku z ramienia rządu angielskiego z dużą dostawą broni oraz pieniędzmi. Francuzi nic o tym nie wiedzą. Wszystko zostanie przetransportowane przez Rio Grandę del Norte.

— Dla kogo przeznaczony jest transport? — zapytał Sternau.

— Dla Juareza. Dlatego posłano mnie, abym zawiadomił prezydenta, iż transport jest w drodze, i ustalił z nim miejsce odbioru.

— Czy lord sam pilotuje ten transport? — dopytywał się Mariano. — Kiedy i gdzie można go będzie spotkać?

— Nie sposób tego dokładnie określić. Naprzód muszę się zobaczyć z Juarezem. Lord wyruszy dopiero po otrzymaniu jego poleceń.

— A więc się pomyliłam — rzekła Rezedilla do kuzynki. — Który to właściwie?

Emma wskazując na Antoniego Ungera, powiedziała:

— Oto on. Wzięliśmy w Guaymas cichy ślub. Ten zaś mężczyzna, który stoi obok, to mój szwagier, kapitan Unger.

Rezedilla podeszła do obu i bardzo serdecznie przywitała się z nimi.

— A kim jest ten senior? — zapytała, patrząc na don Fernanda.

— Nie domyślasz się? Czy wiesz o wszystkim, co się wtedy zdarzyło w hacjendzie del Erina?

— Tak

— Słyszałaś więc zapewne, że don Fernando de Rodriganda umarł?

— Tak.

— Don Fernando stoi przed tobą zdrów i cały.

Trudno opisać zdumienie Rezedilli i pozostałych gości w gospodzie. Stary hrabia pogłaskał piękne, bujne włosy dziewczyny i uśmiechnął się serdecznie.

— Wszystko opowiem ci później — powiedziała Emma. — Tu widzisz jeszcze seniora Mindrella, który dostał się do niewoli razem z don Fernandem.

— Droga Emmo, brakuje jeszcze jednego. Czy Niedźwiedzie Serce nie żyje?

— Owszem, żyje. Ale wczoraj rozłączył się z nami, aby pójść śladami Apaczów, na których czele stoi jego brat.

Jakby za czarodziejskim zaklęciem otworzyły się raptem drzwi. Stanął w nich Niedźwiedzie Serce. Nikt nie słyszał tętentu konia. Podszedł do Sternaua i zapytał:

— Co brat mój uczyni? Czy weźmie udział w walce tego kraju?

— Jestem twoim przyjacielem — odparł Sternau. — Twój wróg jest moim wrogiem.

— Niechaj więc mój biały brat chwytą za broń, niedługo bowiem nadciągną Francuzi.

— Widziałeś Niedźwiedzie Oko?

— Nie. Nie widziałem żadnego syna Apaczów. Wczoraj i dziś od samego świtu szedłem ich śladami. W pewnym miejscu ślady te zmieszały się ze śladami Francuzów, którzy ruszyli ku wschodowi. Jedne z nich powstały przed kilkoma godzinami, drugie w godzinę po tamtych. Synowie Apaczów następują więc Francuzom na tyły. Wrogowie nie poszli jednak prosto w kierunku fortu, lecz zwrócili się ku górom nad Rio Grandę.

— Mój brat nie poszedł dalej?

— Nie. Musiałem tutaj przyjechać, aby zameldować, że się zbliżają.

— Czy są to tylko jeźdźcy?

— Tak.

— Czy mają armaty?

— Nie, śladu wozów z amunicją nie dostrzegłem.

— Zastanówmy się, co robić. Kiedy mogą dotrzeć do fortu?

— Za godzinę.

Sternau zwrócił się do Gerarda:

— Oddałem się do pańskiej dyspozycji. Powiem teraz, kto oprócz mnie walczyć będzie z wami ramię w ramię. Przede wszystkim Bawole Czoło, wódz Miksteków. Znacie go, prawda?

— Tak jest.

— Ten oto Indianin to Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów. Obok stoi Piorunowy Grot, o którym również z pewnością słyszeliście. Pozostali mężczyźni także wezmą udział w walce. Don Fernan—da mam zamiar uprosić, aby został tutaj i ochraniał kobiety.

Mimo sędziwego wieku hrabia nie chciał się na to zgodzić. Ustąpił dopiero pod wpływem usilnych próśb wszystkich obecnych.

— Kto będzie dowódcą? — zapytał Gerard.

— Oczywiście pan — odparł Sternau. — Juarez tak postanowił.

— O, nie, senior. Kim jestem wobec Władcy Skał, Bawolego Czoła, Niedźwiedziego Serca i Piorunowego Grota? Proszę, senior, obejmij dowództwo!

— W takim razie musiałbym wziąć na siebie całą odpowiedzialność.

— Jestem przekonany, że się pan przed nią nie cofnie.

— Dobrze. Nie marnujmy czasu na niepotrzebne gadanie. Spełnię waszą prośbę, muszę jednak najpierw obejrzeć fort.

— Chętnie oprowadzę.

Ruszyli, aby zorientować się, jaką przyjąć formę obrony. Fort był mały. Wznosił się na wąskim, stromym wzgórzu położonym nad rzeką. Prowadziła do niego niewielka drożyna. Jedynym obwarowaniem były stopy polan ciągnące się dokoła. Dzięki samemu położeniu można się tu było łatwo bronić, o ile oczywiście nieprzyjaciel nie użyje artylerii lub nie skieruje wielkiej liczby wojska. Zdolnych do walki było zaledwie dwudziestu uzbrojonych ludzi. Mała ta garstka mogła jednak choć przez pewien czas zatrzymać trzystu żołnierzy.

Gdy Sternau i Gerard wyszli, Niedźwiedzie Serce również opuścił gospodę. Wkrótce znalazł Pirnera. Gospodarz siedział w sklepie i w samotności wracał do równowagi.

— Biały człowiek ma tu wiele rzeczy — zauważył Apacz.

— O tak.

— I wszystko można kupić?

— Oczywiście.

— Jakie pieniądze przyjmuje biały człowiek najchętniej?

— Wszystkie, które są u nas w obiegu.

— Czy biały człowiek ma również farby?

— Tak, we wszystkich gatunkach i kolorach.

- A pióra krucze i orle?
- Owszem.
- I ubrania dla czerwonoskórych?
- Mam piękne ubrania indiańskie, uszyte przez pracowite squaws.
- Czy również płaszcze ze skór?
- Nie, ale mam skórę szarego niedźwiedzia.
- Czy brat mój ma także fajerwerki?
- Tak, najrozmaitsze żabki i armatki, można ich używać do sztucznych ogni.
- Niech mi więc pozwoli senior znaleźć to, czego potrzebuję. Płacę natychmiast.